

BLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiety

ROK LXIII

WARSZAWA, DNIA 19 KWIETNIA 1930 ROKU

NR. 16

TREŚĆ NUMERU: Jedność rodziny a obywatelstwo kobiety zamężnej — *H. Wienińska*. Martwe i zmartwychwstałe — *M. H. Szpyrkówna*. Poezje: „Opowieść ewangeliczna” — *Lucyna Krzemieniecka*. Matuńcinie wszystko — *Zofja Reutt-Witkowska*. Męka i zmartwychwstanie Chrystusa w sztuce — *l. j. Lula, Zo i Dżek* — *J. Ł. W.* Z teatrów — *S. P. O.* Z książek — *S. P. O.* Kobieta w świecie i w domu. Szlakiem wspomnień... — *Wanda Dobrzańska*. Jedwab, perkal, czy to, co najważniejsze — *Wanda Borudzka*. Przyjęcia wielkanocne — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dodatek „Nasza Mównica”. Dodatek „Mody i roboty”: Bluzki — *Well*. Dodatek powieściowy: „Kraska w jarzębinie” — *Zofja Reutt-Witkowska*. Tablica krojów.



Michał Anioł Buonarotti: „Pietà”.

W dniach uroczystych, poświęconych Tajemnicom Odkupienia i Zmartwychwstania, łączymy się ze wszystkimi naszymi Czytelniczkami, Współpracowniczkami i z Przyjaciółmi naszego pisma w radosnem: „Alleluja!”

H. WIEWIÓRSKA

JEDNOŚĆ RODZINY A OBYWATELSTWO KOBIECY ZAMEŻNEJ

„Małżeństwo jest jednostką — i to *on* jest właśnie tą jednostką“ — mówi stare przysłowie angielskie, zaś art. 214 Kodeksu Napoleona (u nas dawny 181 Kodeksu Cywilnego Królestwa Polskiego) głosi: żona obowiązana jest mieszkać z mężem, iść za nim, gdzie mu się podoba“ — ponadto winna mu posłuszeństwo (art. 213), jako głowie domu, i mechanicznie, z chwilą ślubu, traci swe obywatelstwo — o ile wyjdzie za cudzoziemca.

Inne prawodawstwa w sposób może mniej kategoryczny zaznaczały tak pojętą jedność rodziny.

Być może — i twierdzą to na podstawie swych obserwacji, zaczerpniętych przede wszystkim z praktyki adwokackiej — olbrzymie masy kobiet żyją jeszcze w tak pojętej jedności — majątek ich jest faktycznie własnością męża („Mój grunt, moja chałupa“ — powiada klient-włóścianin, a gdy zbadać sprawę, okazuje się, że nie jego, a żony); mąż sprzedaje mieszkanie, pozostawiając rodzinę na bruku i t. d.; ale od dłuższego czasu — a specjalnie po wojnie — mury tej jedności zaczynają się zarysowywać.

Małżeństwo zaczyna być nie (że zaczerpnę porównań z prawa handlowego) przedsiębiorstwem firmowym, a spółką, w której strony mają jednakowe prawa.

Prawie wszystkie ustawodawstwa świata całego usuwają dawne ograniczenia dla mężatek i obecnie nietylko Anglja, Stany Zjednoczone, kraje Skandynawskie, ale nawet Francja i Włochy, ba! nawet Turcja — wkroczyły na drogę zupełnego równouprawnienia mężatki nietylko w dziedzinie materialnej, ale i w stosunku do dzieci (władzy rodzicielskiej), a mężatka w Norwegji ma prawo nosić nazwisko pańskie. Nie oparły się panującemu prądowi i ustawy o obywatelstwie mężatki; zaczynają i tu pękać mury jedności, zrozumianej, jak więzienie. Jedna jest tylko różnica — proces ten posuwa się znacznie szybciej: od r. 1918 do r. 1929 jedno państwo po drugim czyni bardzo znaczne ustępstwa na rzecz kobiet, i obecnie 22 państwa, o 350.000 mieszkańców, wprowadziły zasadę: Mężatka nie traci automatycznie swego obywatelstwa skutkiem ślubu, zawartego z cudzoziemcem, w większości wypadków przede wszystkim wówczas, gdy małżonkowie nadal mieszkają w kraju żony; tylko wyraźne życzenie mężatki powoduje nadanie jej obywatelstwa męża. Niektóre kraje (np. Francja) pozbawiają kobietę obywatelstwa, o ile małżonkowie mają zamiar mieszkać zagranicą.

Szybki postęp w tej dziedzinie tłumaczy się tem, że dawna zasada jest właściwie historycznie nową, gdyż do końca wieku XVIII-go kobieta *zawsze* zachowywała swoje obywatelstwo, i tylko w wieku XIX-ym widzimy powolne zwycięstwo zasady utraty obywatelstwa.

Dotychczas jednak większość państw z Wielką Brytanią i Niemcami na czele, utrzymuje ustawy, które nakazują bezwzględnie utratę obywatelstwa, nie myśląc o tem, że są kraje, w których żona nie otrzymuje automatycznie obywatelstwa męża, a więc zostaje bezpaństwową — co jest dla niej źródłem ciągłej udręki.

Polska, Włochy, Japonja i wiele małych krajów, przewidując tę okoliczność, uznają, że mężatka traci swoje obywatelstwo jedynie wówczas, gdy uzyskuje obywatelstwo męża, i może powrócić do dawnego obywatelstwa (mówię tu o Polsce) po rozwiązaniu małżeństwa.

Tak. A jeżeli małżeństwo nie jest rozwiązane prawnie, a jednakże faktycznie nie istnieje? Co ma czynić np. kobieta-lekarz, która powraca do kraju, opuszczona przez męża-cudzoziemca, i która nie może wykonywać praktyki, bo ma dyplom zagraniczny, a nie otrzyma nostryfikacji, bo jest niby cudzoziemką we własnym kraju (wypadek autentyczny)?

A mało mamy wypadków małżeństwa polki z cudzoziemcem i zamieszkiwania nadal w Polsce? zaczął karze się kobietę gorzej, niż ciężkiego przestępcę, odbierając jej prawa polityczne i społeczne? Boć przecie głosować już nie może, ani żaden Urząd jej do pracy nie przyjmie, zaś instytucje społeczne pomocy jej nie dadzą.

Konferencja kodyfikacyjna, która rozpoczęła swe prace dnia 13.III r. b., a obecnie już je zakończyła, nie miała zamiaru wprowadzić większych zmian, poprzestając na poprawkach, dawno już u nas wprowadzonych (uniknięcie bezpaństwowości i powrót do swego obywatelstwa po ustaniu małżeństwa), mimo bardzo silnej agitacji i rzeczowych, źródłowych argumentów międzynarodowych Organizacyj kobiecych.

3 wielkie organizacje: Liga Pokoju i Wolności, Federacja Kobiet z wyższem wykształceniem oraz Związek międzynarodowy dla uzyskania praw publicznych i obywatelskich — od 25 lat wysuwały kwestję obywatelstwa mężatki na czoło swych prac.

Po Wielkiej Wojnie i podczas jej trwania (rok 1916) działalność ta ożywiła się znacznie, a od roku

1926 — 1928 utworzono specjalne komisje, w celu prawnego opracowania tej kwestji, przede wszystkim w celu przygotowania materiałów dla konferencji kodyfikacyjnej.

Od dnia 12.III do dnia 15.III trwały prace połączonej komisji Federacji i Związku (Alliance); urządzano też publiczne posiedzenia, Meeting, wysłano delegacje do Konferencji, z wyłączeniem żądań 40.000.000 zrzeszonych kobiet.

We wszystkich tych pracach brałam udział, jako

przedstawicielka Związku Obywatelskiej Pracy kobiet i Stowarzyszenia Kobiet z wyższym wykształceniem, zaś wyjazd do Hagi zawdzięczam nie tylko energicznym staraniom przedstawicielek tych organizacji, ale przede wszystkim życzliwej pomocy Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Wydatna praca stowarzyszeń kobiecych, przy pomocy sfer miarodajnych, doprowadzić może i musi do pomyślnego wyniku — odrzucenia jeszcze jednej krzywdy kobiecej.

M. H. SZPYRKÓWNA

MARTWE I ZMARTWYCHWSTAŁE

„Zmartwychwstanie — jest to praca zjednoczenia rozproszonych cząstek” — powiada mądrość wschodnia. Może twierdzenie to nie jest całkowicie ściśle, możeby warto zapytać: cząstek czego? I z jakich przyczyn rozproszone były? Ale, przyjąwszy narazie takie założenie, zobaczymy, co może ono w sobie posiadać z rzeczy, godnych zastanowienia.

Życie w swej całości jest istotnie jedną wielką rozpraszalną energij, sił i cząstek żywotnych, jakie się składają na całokształt człowieka. Powoli rujnuje skonstruowaną tak precyzyjnie i wspaniale maszynę ludzkiego ciała i jej pierwiastków myślowych, wymłócając niejako z człowieka siłę istnienia, aż nastąpi ostateczny jej zanik. Wtedy człowiek umiera, a mądrość wschodnia w pomienionym aforyzmie przewiduje, że kiedyś, w jakiś nieznany nam sposób, zmartwychwstanie, ujawni się w stopniowym skupianiu rozproszonych pierwotnie cząstek. Mybyśmy ten proces nazwali raczej narodzinami, ale wkońcu i czemuż jest zmartwychwstanie, jak nie powtórzeniami narodzinami?

Jednakże zastanówmy się, ile cząstek naszego ducha i ciała jeszcze za życia naszego obumiera nie dlatego, że się zużywa, a wprost przeciwnie: dlatego, że leży odłogiem?

Jest to znany z medycyny i higieny fakt, że organy, które nie funkcjonują przez czas dłuższy, podlegają pewnej atrofji. Przytaczają bardzo często na poparcie tej tezy ryby z wód głębinowych, które są ślepe, gdyż wzrok tam nie był im potrzebny i powoli tracą zdolność widzenia. Są inne, które wyrobiły sobie natomiast zdolność elektrycznego oświetlenia tych ciemności: żyją jakgdyby z własnym światłem, którem oślepiają zdobycz. Człowiek ma w organizmie parę organów szczątkowych, dziś jakgdyby zbędnych i stąd — zanikających.

Otóż, jeżeli są takie, które zanikają skutkiem istotnej zbędności, to nierównie więcej liczymy tych, któremi poprostu nie mamy czasu i umiejętności odpowiednio się posługiwać — i zatracamy je stopniowo, ubożąc nasze właściwości i zdolności tylko z braku ich gimnastykowania.

Czy da się to odnieść tylko do dziedziny fizycznej?

Wprost przeciwnie. Ciało względnie przymuszone jest do funkcjonowania mniej lub więcej sprawnego, dzięki trudnościom życiowym. Jeżeli nie wspina się na drzewa i góry, skaczymy do tramwajów i wchodzimy na piąte piętra bez wind (co zresztą bynajmniej nie każdemu pójdzie na zdrowie). Ale, bądź cobądź, codzienne sprzątanie, zmiatanie, zawieszanie, podnoszenie i dźwiganie uruchamia główne ośrodki mięśniowe u przeciętnego człowieka dostatecznie, ażeby nie potrzebował się uciekać do środków sztucznych. Przytem ćwiczenia sportowe i gimnastyczne przychodzą z pomocą tym, którzy uważają, że naturalny ich ruch nie wystarcza ku sprawności cielesnej.

Wręcz inaczej jest z gimnastyką umysłową i duchową. Tu — zupełny brak kontroli nad prawidłowym funkcjonowaniem naszych władz przyrodzonych wprowadza niesłychane spustoszenia. Dzisiejsze życie podzieliło ludzi na fachowców i w sposób nieprawdopodobny ograniczyło nasze możliwości rozwojowe. Gdyby czaszkę człowieka podzielić na kółeczka podług rozmaitych jej ośrodków, fach, uprawiany przez człowieka z jego niezbyt dalekimi odgałęzieniami, zajęłoby znakomitą część mózgu; a reszta małałaby jego kosztem. Idziemy jakgdyby do tego, że w przyszłości ludzkość będzie już produkowała samych specjalistów. Wiadomo będzie, że niemowlę z nadmiernie rozwiniętym guzem na czubku głowy zostanie lekarzem, a z wybujałym ciemieniem — motocyklistą; albo od-

wrotnie, czy jeszcze inaczej. Ogólniejsze zainteresowania giną pod ciężarem wiedzy jednostronnej, którą przeładowane jest nasze współczesne wykształcenie fachowe. Tylko początkowa nauka w szkole średniej daje podstawy do mniej więcej harmonijnego dalszego rozwoju władz, jakimi zostaliśmy od natury obdarzeni. Większość i to ogromna większość kobiet jest jeszcze dziś pozostawiona przy średnim poziomie wykształcenia—mówię, naturalnie, o inteligencji. Dlatego też kobieta ma większe możliwości rozwoju i uruchomienia wszelkich władz, jakich jest nosicielką, podczas gdy fachowiec-mężczyzna z konieczności likwiduje wielką część swoich uzdolnień na korzyść hipertrofji jednego jakiegoś działu.

Najbardziej poszkodowanymi są bezwzględnie w nas wszystkich władze psychiczne.

One to właśnie są temi cząsteczkami, rozpraszanymi codziennie przez nas pod cepem życia, i których kapitał się zmniejsza, nie wydając żadnej korzyści. Zobojętnienie i jakgdyby wyjałowienie współczesności pod względem potęg psychicznych stało się od jakiegoś czasu poważną troską pewnej części uczonych i, by tak rzec, duchoborców wszelkiego typu — ludzi, którzy nie zapomnieli o pierwotnych uzdolnieniach człowieka, zabijanych stopniowo przez maszynę. Ameryka pierwsza rzuciła, wpadając po drodze w pewną konieczną przesadę, hasło odrodzenia sił psychicznych człowieka i zwrócenia niejako jego uwagi na dobro, jakie w duchu jego leży odłogiem. Stąd powstały tysiączne stowarzyszenia dla uruchomienia obumarłych władz. Znakomity doktor uczy, jak metodą rozwijania autosugestji („codziennie czuję się lepiej, jestem coraz silniejszy i zdrowszy, interesa moje poprawiają się z każdą chwilą, nikt nie może się oprzeć mojej woli“) — człowiek ma dojść do całkowitego zdrowia, poprawy, fortuny i powodzenia (metoda Kuego). Modny okultysta zaczyna wydobywać przykładowo nieujawnione potęgi, śpiące w człowieku, aż do czynienia cudownych (z pozoru) zjawisk włącznie: magnetyzm, hypnoza i poruszanie władz podświadomych w człowieku prowadzić go ma do nadczołowieczeństwa. Ujawnia się silny nawrót Europy ku centrom wtajemniczeń jogistycznych, gdzie dieta, oddech i odpowiednie ćwiczenia rytmiczne mają pobudzić niemowlęce władze duszy i doprowadzić je do pełni wspaniałego rozwoju. Coś z przesady w tych doktrynach niewątpliwie przejawia niepotrzebnie ich założenia, ale coś zostaje; i to coś, odpowiednio rozwijane na gruncie krytycznego i spokojnego rozważania, może niewątpliwie przynieść korzyści.

Wszelkie rocznice związane są nie tylko z przemianami natury w jej przełomowych okresach, ale i mogą się stać znakomitym przyczynkiem dla punktów zwrotnych życia w jednostce. Wpływy atmosferyczne przedwiośnia i ogólne przebudzenie się natury jaknajszczęśliwiej się łączy z procesem, jaki nam w tym czasie poddaje tradycja kościelna: postu, spowiedzi i zmartwychwstania. Post o tym czasie spotykamy nie tylko u nas: wynika ze wskazówek zdrowotnych, jako konieczność odciążenia i oczyszczenia organizmu, który przez zimę, skutkiem braku odpowiednich jarzyn, a nadmiaru tłuszczów, cierpi na zastój, szkodliwy dla zdrowia, a sprzyjający chorobom. Post jest odciążnikiem dla zimowego okresu na przełomie wiosny, kiedy wchodzą na widownię inne pokarmy, powietrze się zmienia i ruch zaczyna się zwiększać. Tak więc pierwsza, fizycznie-organiczna niejako część uroczystości wielkanocnych ma swoją znakomicie uzasadnioną rację bytu.

Druga płaszczyzna tego samego procesu oczyszczenia i odciążenia, ale odbywająca się już w planie duchowym, nie w ciele — to spowiedź wielkanocna. Powinna być harmonją pomiędzy oczyszczeniem ciała dla nowego, sprawniejszego życia, a duszą. I otóż ta dusza, zgodnie z tradycją, o tej porze także przechodzi jak gdyby konieczną kwarantannę: kwadrans myśli o rzeczach wiecznych, wniknięcie w siebie i, po rozważeniu, co właśnie w nas jest balastem obciążającym, trucizną rozkładową dla życia i złoziem, kwalifikującym się do usunięcia — po tem wszystkim dusza spowiada te swoje niedomogi powołanemu powiernikowi, który mocen jest siłą Sakramentu oczyścić ją z wszystkiego, co było jej złem i chorobą w ten sposób, że do wielkiego Święta Zmartwychwstania przystępuje ona jakgdyby istotnie narodzona po raz drugi do życia — i zdolna do przyjęcia jego nowych i najlepszych wpływów.

I otóż w chwili, gdy teren, zarówno ciała, jak i duszy człowieka, kierującego się mądrymi postanowieniami pewnych kanonów religijnych, jest oczyszczony i przyjmuje niejako na dobry grunt wszystko, co w nim kiełkować zechce — dobrze jest pomyśleć o zaniedbanych, o, dosłownie: rozproszonych cząstkach naszego duchowego dobytku, który leży odłogiem. Dobrze jest skupić znowu w sobie siły wewnętrzne—woli, wiary, nadziei, ufności, postanowienia wytrwałości, dobroci — cały ten kapitał dobra, rozpraszany ustawicznie przez młockarnię życia — i w wielką rocznicę przełomu wiosennego istotnie przeprowadzić w duszy ową trudną, ale istotną pracę zmartwychwstańczą!





Fra Angelico da Fiesole: „Chrystus jako ogrodnik ukazuje się Magdalenie“.

OPOWIEŚĆ EWANGELICZNA

Kiedy brzask się zapalił
w Niedzielę zrana,
przyszła Marja z Magdali
do grobu Pana.

Pochyliła się nisko,
cała struchlala.
W grobie anioł był tylko,
nie było Ciała.

I powiada jej anioł,
co był na ziemi:
Próżno szukasz żywego
między zmarłymi.

Głazy dziś się skruszyły,
Pana puściły,
a ciemność, która była,
w blask się zmieniła. —

LUCYNA KRZEMIENIECKA



Stucha Marja i nie wie,
co słowa znaczą,
więc spogląda za siebie
z wielką rozpaczą.

A stał za nią ogrodnik
na kwietnej łące.
Gdzieś Go wziął, ach, odpowiedz
pyta go drząca.

Ale był to Ogrodnik
ziemi i nieba,
Który miłość siał wszędzie,
katów się nie bał.

I zarolał niemiastę
Marji imieniem.
Marja Pana poznała,
klękła w zdumieniu.

Nie chciał Pan, by w rozterce
trwała tak dłużej.
Wzniósł swą dłoń nad jej sercem,
ukoił burze.

Rzecz Pan: — Powiedz braciom:
idę do Niego,
do Pana Przedwiecznego,
Boga Waszego. —

Poszła Marja z Magdali
w serdecznej ciszy.
Prowadziły ją w dali
mądre cyprysy.

ZOFJA REUTT-WITKOWSKA

MATUŃCIA WIE WSZYSTKO...

Fragment powieści „Rycerze Pojutrza”.

„Oto jasny dziś dzień, z dni jasnych to najjaśniejszy!
Oto świetny dziś dzień, z dni świetnych
najświęteczniejszy!”.

Zaczepli o nutę wysoką, cieniusięnką, niczem osnowa conajprzedniejszego mustabetu, głosik pacholęcy diakona w płomienistej dalmatyce. A chór mu druhów niefrasobliwy odpowie radością młodą wszystkich tych serc, które śmieją się niedzielnemu niebu.

Dzień to jasny, świetny, kiedy — niegdyś — żydowskie dzieci rzucały suknie na drogę i wołały, mówiąc: „Hosanna Synowi Dawidowemu! Błogosławiony, który idzie w imię Pańskie!”.

Dziś też jasno, choć nie Jeruzolima to, ale miasto Sens, gród stary francuski. Świętecznie — choć tysiąc już lat mija, odkąd wjeżdżał Pan do Jeruzalem na ubogim osielku.

A na tę pamiątkę śpiew dziś tryska wesoły:

„Precz dzisiaj złości, zazdrości i wszystkie smęty!
Dobrzy ci są, którzy czczą z Osielkiem dzień święty!”

Nakryty czaprakiem złocistym, w pośrodku procesji żaczków i księżyków młodych, stąpa dostojnie najpiękniejszy w okolicy osielek. Pełen jest godności.

„Hej, panie Osielku, ho-op!”

Bucha z tłumy weselem dziecięcym. Wiewa na powietrzu gaj zielony gałęzi. Srebrzeją gęsto mszyste kocanki, gotowe pod nogi kłaść się Niewidzialnemu Panu.

Dzieci hebrajskie, niosąc gałązki oliwne, wyszły niegdyś na spotkanie Pana i wołały: „Hosanna na wysokościach!”.

„...Ku nam dziś ze wschodnich stron

Wdzięczny szedł Osielek on,

Boskich cnót dźwigając Plon —

Hej, hej, panie Osielku! ho-op!”

Strzygą słuchy kosmate, czujne. Drga, wstrząsa się, jeży na karku szerść bura, szerokimi pręgami w znamię krzyża świętego znaczona. Chwost kołysze się pod ton pieśni tej młodej, złocistej, pełnej świegotu jaskółek:

„Pan nasz gdy na tryjumf szedł,

Dźwiگاł Go Osielka grzbiet”...

A wtem krzyk nagły, niesforny, słońcem i zapachem winnicy kwitnącej wezbrany:

„Evoe! — święć się, Zyciel!”

Do wrót czarnych opactwa św. Marcina zbliżył się korowód Hierozolimski.

Łączmy się mocną wiarą z aniołami i dziećmi, Zwycięzcy nad śmiercią, wykrzykując: „Hosanna na wysokościach!”.

„...Królu dobry, miłościwy, który wszystko dobre kochasz,
Chwała Tobie, Królu, cześć...”

Gdy wchodził Pan do miasta świętego, przepowiadając zmartwychwstanie Żywota, dzieci z gałązkami palmowymi w ręku wołały: „Hosanna!”.

A dziś oto korowód Hierozolimski drzewcem Krzyża zakolał do bram opactwa. Otworzą się wrzeczadze:

„Chwała, chwała na wysokościach!”

Zaszeleściły wkrąg oliwne gaje — i zmiłły.

— Ciszo, ciszo srebrna, mam cię wreszcie! — odechnie — po latach — królowa Anna samotnością uroczystej niedzieli.

Na wzgórzu Matki Bożej Strażniczki schroniła się i widzi stąd jeno kręte zakamarki miasta Marsylji, wyjeżone domkami, spadające ku morza lazurowi, jednostajnemu pod nieba lazurem porannym.

— A niechże sobie pani Konstancja ofiaruje opactwu kielich, patenę, czy co się dobrego zda! Ja dziś Bogu ciszę tę swoją srebrną darem przynoszę radości. To mój dla Ciebie, pod stopy, Jezu Panie, bisior — tkanina zadumy mojej nad dolą i niedolą. Królu dobry, miłościwy, który wszystko dobre kochasz.

Oczy na smutki własne królowa przymknęła w dzień ten uroczysty. Aż wtem napełni się gaj, nasącący się cisza srebrnym pogłosem hukania dziecięcego, bliższego co raz, i śmieszkami radości.

— Wiem to! — ucieszy się królowa. — Radość to nad lada biedronką, czy ślimakiem, co pod liściem się zdrzemnął.

Oczy więc na radość tę szeroko rozтворzy. Widzi, między srebrne drzewa uwijają się postacie drobne w białych koszulkach. Niektóre na włosach mają wianki oliwne, każda zaś naręcze gałązek. A nawołują się, a migocą srebrem wesela swego.

Nie Hieruzalem-że to?! Czyliż nie pod stopy Onemu, który idzie w imię Pańskie, będą te gałązki?

Kędyż ON?!

A wtem głosy zadzwonią:

— Fulku! Fulku-u!!

— Zaraz!!

Oddalą się gwary pustkowią.

Jedno tylko dziecię wokół miejsca, na którym spoczęła królowa, uporczywie krąży. A jakoby przystąpić nie śmiało,

Uśmiechnie się pani. Z całego bogactwa ciszy swej dobędzie srebrnego uśmiechu.

Już, już oto zbliży się dziecię, usidlone królewskim uśmiechem.

— Ty jesteś Fulk!

Przystanie dziecię — zadziwi się — spojrzy oczu lazurem porannym.

— Ja, matuńciu... ale skąd wiesz, jak ja się nazywam?

Zataić się chce królowej przyczynę — prawdziwą a prostą.

(Jak dziwnie mówi: *matuńciu!* jak przedziwnie!)

— Matuńcia wie wszystko: nazywasz się Fulk Srebrny.

— Srebrny? to bardzo ładnie. Zawdy nazywali mnie tylko Fulk — doda smutno.

— Weź-że sobie, Fulku Srebrny, to, po coś przyszedł! — próbuje Anna dalej zabawy w dobrą wróżkę.

— Matuńcia zna i mój kwiatek!? — pogłębi się zdumieniem lazur ocz pod rzęsą.

— Matuńcia zna wszystko — uśmiechnie się królowa, nie zdradzając swej niewiedzy.

Podejdzie Fulk tuż do kamienia, na którym siedła, powoli, trochę spłoszony jeszcze.

— O! matuńciu, jaki ładny!! — przypada między głaz, a pień srebrny drzewa.

Obróci się pani. Tam oto skuliła się we mehu kępka jaśniejszej zieleni, ustrojona w moc nikłych, liljowych kwiatuśków.

— Śliczna twoja przylaszczka! — mówi z przekonaniem.

— O-o! przylaszczka! — obrazi się Fulk. — Tego matuńcia nie wie? to taki fiołek. Przylaszczka nie pachnie! — Urwie kilkanaście kwiatuśków.

Pani straciła już urok wszechwiedzy. Pyta:

— Poco ci te kwiatuśki?

— Jakto, poco?! Na procesję palmową! — oburzy się.

Prawda! Z wszechwiedzą straciła snadź królowa też i domyślność wszelką.

— Ale matuńcia mi tej reszty nie pozrywa? — zakłopoce się, a wraz, po niewczasie, zawstydzi pytaniem.

— Nie! skądżeby, Fulku Srebrny! Będiesz więc, jak widzę, ogrodnikiem?

— O nie! ogrodnikiem, nie! Malarzem!! — zapali się. Trafiła widać w czułą strunkę.

— A co będziesz malował? kwiatki?

Zamyśli się.

— Kwiatki też. Ale także Matkę Boską w płaszczu błękitnym... o, taką, jak matuńcia. — Zastanowi się nagle, przerazi aż. — Ino, żeby była przezroczysta, żeby słońce przez nią przeglądało... bo mi się Taka śniwa czasem... — doda cicho, spłoszony znów.

— Fulku! Fulku-u!! — rozlegnie się dalekie wołanie.

— Zara--az! Muszę już iść... — Popatrzy.

Królowa zdejmując prędko naramiennik srebrny, dziwną pleciana robotą. Sadzony niebieskimi kamuszkami. Cenniejszego nic nie ma przy sobie. Kocha zresztą stary ten naramiennik, matczyn jeszcze.

— Weź to, Fulku Srebrny!

Obrócił w rękę, zadziwił się. Oczy podniesie:

— Azebitu *) matuńcia nie ma?

Wstyd jej! doprawdy tak, jakoby obowiązkiem królowej było na pielgrzymkę wybierać się z zapasem łakoci.

— Nie ma, synku.

— Fulku! no chodź-że raz, Fulku!! — rozlegną się natarczywsze co raz głosy.

Kilkoro dzieciak w bieli wpadnie, zdyszanych, od strony miasta, zatrzymując się na widok obcej — niepewne.

— To dla ciebie — powie szybko Fulk, jeden jej kwiatek do ręki sunie.

— Tylko mnie nie zdradź, że tu rosna — szepnie. I już go niema.

Łakoci matuńcia nie ma. Ani swego Fulka. — Panie Jezu, toć bisior mój pod stopy Twe... ten smutek mój. — W srebrną się zatopi modlitwę.

Aż ją od miasta płynący śpiew ocknie:

— Królu dobry, miłościwy...

Spojrzy: wokół św. Wiktora tłum się mrowi palmowy — oliwny, żywy gaj.

Wracać trzeba. Ruszać w drogę — z panią Konstancją.

Chwilę choć jeszcze! Niech zakończą się obrzędy.

A kiedy miastem wracała, srebrna wciąż echem zadumy porannej, raz po razy dziecię ją zaczepi w bieli, z gałązką oliwną w rękę:

— Matuńciu! daj azebitu!

Nie wie królowa, co to znaczy, ale wstydzi się próżnych swych rąk co raz więcej.

— Pani Konstancjo, dlaczego to drogę całą podbiegały do mnie dzieciaki w bieli, prosząc łakoci... a mówiły do mnie...

— A! nie wiesz? Przecie to sierotki z opactwa ten mają na Palmową Niedzielę przywilej: do każdego przechodnia mówić: ojcie! matko! i żebrać.

— Ach, to tylko to?... Pani Konstancji, nie zapomnijcież, proszę, dwudziestu za powrotem sztuk płótna dać opactwu dla onych dzieciak... odemnie. Oddam wam.

...Jeśli bym królową była

Dzień bym cały się trudziła,

A na Boży ten świat cały

Rączki płótnaby natkały,

Białe rączki — —

Na cały świat. — Owóz — jestem królową. A mogę... tyle tylko.

*) Rodzaj sera owocowego, popularny przysmak ówczesny.

MEKA I ZMARTWYCHWSTANIE CHRYSSTUSA W SZTUCE

Kiedy Ewangelja objawiła się, jako źródło niewysychające, z którego cały wielki świat chrześcijański począł czerpać, przed sztuką otwarły się przestrzenie nieogarnionych możliwości. Miała oto nagle o czym mówić, nie tylko jeżeli chodzi o uzmysławianie i podkreślanie prawd religijnych, lecz z punktu widzenia dziejów jednego cudownego Życia, w którym zawarta jest zarazem historia bolesnych upadków i triumfującego zwycięstwa całego rodu ludzkiego. Dzieciatko, przychodzące na świat w ubóstwie, Uczeń i Nauczyciel, Prorok, Męczennik, umęczony w imię Swej sprawiedliwości — i Bóg... Tak się zamyka koło Żywota — tworzy się nieśmiertelny pierścień sztuki.

Ostatni tydzień życia Chrystusa stał się tym wspaniałym „tematem“, który przez sam gatunek składających się nań elementów pozwolił na wydobywanie nowych zupełnie, nieznanych, za ledwie może przeczuwanych uprzednio, wartości, czysto artystycznych. Albowiem odmienna płaszczyzna tematyczna wyzwala drzemiące nieuświadomione możliwości formalne. W stosunku do sztuki antyku, do antycznego ujmowania świata, do starożytnego pojęcia ekspresji — nastąpił przewrót wręcz nieprawdopodobny. Człowiek, obdzierany z szat, wieńczony koroną cierniową, roz-



Correggio: „Ecce homo“.



Rubens: „Złożenie do grobu“.

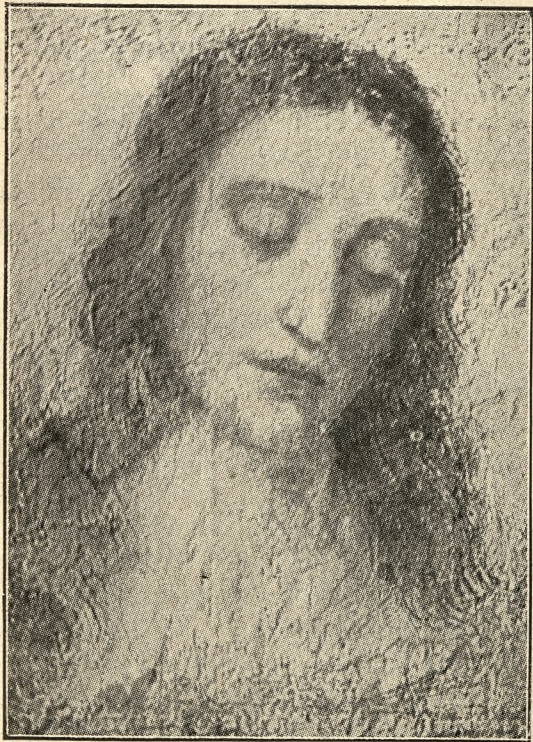
pięty na krzyżu, skamieniały w nadludzkim cierpieniu nie dla swego fizycznego bólu, lecz dla momentów uniwersalnie etycznych, — jakież tu można znaleźć punkt styczny nie tylko już z harmonijnym, spokojnym, olimpijsko w siebie zapatrzonym Hermezem, lecz nawet z wijącym się w skurczu agonji Laokoonem?

To jest moment, który przerasta nieskończenie dotychczasową sferę artystycznego wypowiedzenia się, przerasta nie tylko przez rodzaj swej jakości, lecz i przez zasięg ilościowy. Oznacza poprostu olbrzymie skomplikowanie psychiczne, a co za tem idzie — i wzbogacenie repertuaru form. Albowiem w sztuce jedno z drugim ściśle i niezmiennie się kojarzy.

Oczywiście, ten motyw, tak w swej potężnej prostocie zawity, nie zjawia się w formie odrazu ustalonej. Dzieje Pasji w pierwszej i drugiej połowie średniowiecza, we wczesnym renesansie i, powiedzmy, w końcowym okresie baroku — rozgrywają się na bardzo różnych płaszczyznach. Podczas gdy prymitywną jeszcze, dziecinnie wrażliwą na grozę samych faktów i akcesorjów zewnętrznych wyobraźnię plastyków średniowiecza fascynuje raczej okres, poprzedzający samo ukrzyżowanie (biczowanie, nakładanie wieńca cierniowego, upadek pod krzyżem — niezmiernie czę-

ste tematy XIII i XIV wieku, zwłaszcza na Północy) — w latach następujących po „wybuchu humanizmu“, po „odkryciu człowieka“, ujawnia się zwrot zasadniczy. Chrystus, umierający na krzyżu, Chrystus, składany do grobu, Chrystus zmartwychwstający — i wreszcie Chrystus niepoznany, a już przemieniony w glorię, w Emaus — staje się ulubionym motywem malarstwa religijnego XVI i XVII wieku. Wraz ze zmienionym stosunkiem do świata, zmienia się i rodzaj ekspresji i przekształca się arsenał środków wypowiedzenia.

Malarze przedrenesansowi prosto opowiadają tragiczną historję tak, jak ich nauczono. Pełni pokornej czci, lecz zarazem związani uczuciowo z samym właściwie tylko naskórkiem zjawiska — nie ośmielają się interpretować. Starają się tylko wiernie ukazać, jak to Syn Boży szedł na mękę, aby ich — niegodnych synów człowieczych — z grzechu wyzwolić. Akcja staje się, albo surowym symbolem, zeszytniałym i hieratycznym znakiem wizualnym dla uświęconych kanonów wiary, albo, jak u wczesnych quattrocentystów, barwną opowieścią, nawet w tragizmie swym pełną życia, drobnych, charakterystycznych, chęciwie podpatrywanych w rzeczywistości szczegółów, — historją, w której ważne jest przedewszystkiem wszystko to, co się dzieje. W sztuce średniowiecza sztywność i surowa powaga oblicza zmarłego Jezusa nie płyną z pojęcia śmierci, jako takiej — są raczej wynikiem i odzwierciedleniem ówczesnego „kanonicznego“ nastawienia religijnego, opartego niewzruszenie na dogmacie. W następnym zaś okresie,



Leonardo da Vinci: „Głowa Chrystusa“.



„Zdjęcie z Krzyża“. — Szkoła Boticelego.

u owych „młodzieńczych realistów“, u poprzedników „wielkiej sztuki“ Odrodzenia — osoba Chrystusa wogóle przestaje chwilami być tak nieskończenie ważna, jak to było poprzednio. Ważne staje się — decorum. Możliwyby rzecz: społeczno-funkcjonalna strona procesu.

Zagadnieniem, zagadnieniem indywidualnym, a zarazem filozoficznym, staje się śmierć i zmartwychwstanie Chrystusa dopiero w sztuce późniejszych lat. Umęczona, w ostatecznej beznadziejności wyrzeczania się opadająca na piersi głowa — żywe, drgające jeszcze ciało, rozpięte na martwym, aorganicznym kawale drzewa — świadczą straszliwym swym milczeniem o śmierci, śmierci, ujmowanej, jako niezbadane, tajemnicze, ale wyczuwalne zjawisko. Ale Zbawiciel, powstający z pod przygniatających Go kamieni grobowca, cudowny Ogrodnik, zjawiający się Magdalenie, Pan świata, w glorię wstępujący w niebiosa — to przewyżczenie śmierci przez życie, ciemności przez światło.

Gdyż sztuka jest terenem ścierania się i niekończącego się przelewania tych elementów: światła i cienia — które symbolizują walkę życia i śmierci na obszarach rzeczywistości. I można by rzec, że dopiero w momencie, gdy następuje przeniesienie treści tematycznej w płaszczyznę twórczości zapomocą środków czysto i surowo fachowych — stanowiących bezspór-

na własność danej dziedziny artystycznej — dopiero wtedy można stwierdzić istotne przejęcie się problemem, prawdziwe jego odczucie. Dzieje Męki Chrystusa i dzieje Jego Zmartwychwstania w plastyce osiągały swe szczytowe punkty zawsze wówczas, gdy — częstokroć z pominięciem ważnych szczegółów, przekazanych przez Ewangelię — transponowane były z pomocą pendzla, czy dłuta w specyficzny, odrębny wymiar kolorów, światła i cienia — które tworzą same przez się autonomiczną symbolistykę.

Jest obraz Paula Veronese (Wenecja, XVI-ty wiek), którego z trudem przyszłoby nazwać malarzem religijnym. Na płótnie niewielkich sto-

sunkowo rozmiarów dwaj aniołowie podtrzymują martwe Ciało Chrystusa. Obraz zwie się tradycyjnie: „Pietà“, jakkolwiek aniołowie nie płaczą, ani nawet twarze ich nie wyrażają smutku. Bronzowo-zielone ich skrzydła chylą się nad ciałem Umęczonego, rozta-
piającym się niemal w jakiejś nierealnej, nieprawdopodobnej, istotnie pozaziemskiej, złotej poświacie. Głowa umarła, odrzucona w tył, jest nieprzenikniona. „Opłakujący“ — nie płaczą. Lecz cienie, które się snują u dołu, i błyski i lśnienia, drgające pod dłońmi aniołów — dają już na całą wieczność świadectwo śmierci, która podcina istnienie człowieka — i życiu innego porządku, życiu boskiemu, które tę śmierć niweczy.
l. j.

LULA, ZO I DZEK

W takie piękne wiosenne południe pełno na ulicach ludzi, pijanych słońcem, roześmianych i rozgadanych. Dzieci w Alejach, strojne, jak ich mamusie, kroczą z powagą lordów i już lustrują spojrzeniem swych rówieśników, albo z wrzawą uganiają na każdym wolnym placyku, pełne radości życia, tryskającej gwarem, śmiechem, zabawą, okrzykami. Ze szkół sypią się gromadki tych najmłodszych, dumnych z pierwszego roku nauki, hałaśliwie manifestujących swą wolność po paru godzinach siedzenia w klasach. Nóżki ich biegną żwawo po twardym chodniku, główki w kolorowych beretach tulą się ku sobie w ożywionej rozmowie: tyle projektów, tyle planów na dzisiaj — spacer do ogrodu, może wycieczka!

Jezdnią przeciąga dziwny, egzotyczny pochód. Kroczą garbate wielbłądy, ostrożnie, nieśmiało jakby stawiające swe nawykłe do piasków pustynnych kopyta na śliskim, zdradzieckim asfalcie. Karawana ta nosi olbrzymie szyldy z napisem:

„My idziemy do cyrku — a państwo?“.

Dzieciarnia przystaje, sylabizuje, czyta. Między Zosiami, Tadkami, Jurkami, Irkami, Lalami i wszystkimi Dzidziusiami następuje jakby jednomyślne porozumienie, wybuchające frenetycznym okrzykiem:

— Mamusiu! My także chcemy do cyrku!

Rozgadane mamusie zastanawiają się chwilkę nad wolą ludu dziecinnego. Jest przecie ciepło, ładnie, można raz, zamiast pójść do kawiarni, zabrać pociechy na popołudniowe przedstawienie.

Idziemy więc wszyscy. Łoże pełne radosnej wrzawy i podnieconego wyczekiwania. Wszakże program zapowiada dziwy! Jak błyszczą oczy, jak zakwitują rumieńcem anemiczne policzki na widok dzikiej Amazonki, hasającej bez siodła na biegającym w kółko starym koniu! To pewnie jakaś córa Cowboyów!... Drobne rączki klaszczą zapamiętałe głupim klowom, po-

zwalającym się bić po twarzy! A te cuda ekwilibrystyki! Jak oni to robią? Mały Staś zapowiada siostrzyczkom, że on w domu zacznie też takie koziołki fikać, a jak dorośnie, to wstąpi do cyrku. Koledzy pójdą z nim i otworzą własny cyrk! Entuzjazm wywołują tresowane niedźwiedzie i małe pieski, ucharakteryzowane na konie cyrkowe. Jacek i Kazio zastanawiają się poważnie, czy nie możnaby tego nauczyć ich Rexa?

A potem na arenę wychodzi dziecko. Drobniutka laleczka, grająca i tańcząca, jak nakręcona precyzyjna zabawka. Mali widzowie poważnieją i wśród ciszy odzywa się drżący wzruszeniem głos dziewczynki z łoża:

— Mamusiu, przecie to małe dziecko! Dlaczego jej każą bawić ludzi?

— Cicho, Zosiu, widzisz, ona musi zarabiać — odpowiada matka.

Po skończeniu swoich „numerów“, Lula znika z areny i po chwili zjawia się na widowni, obchodząc wszystkich widzów dookoła. Zaczyna od łóż, potem pierwsze rzędy, potem coraz dalsze. Sprzedaje... swoje fotografie. Niejednokrotnie naraża się na odmowę lub głupi czy bolesny nawet żart ze strony mniej od zwierząt cyrkowych wytresowanych widzów.

— Ile masz lat, Lula? — pytamy, patrząc na drobne ciało, smutne oczy i usteczka, przystrojone w konwencjonalny uśmiech.

A te chude rączyny i piszczelowate nóżki!

— Pięć... nie, pięć i pół — odpowiada Lula.

— Tyle, co ja — stwierdza siedzący obok nas, jasnowłosy Witek.

— A czy chodzisz już do szkoły?

— Nie, jesse nie... jesse mam cas — sepleni Lula. — Telas to ja glam i tańce.

— I żebrze poprostu, co przecie w kulturalnem

społeczeństwie nie powinno być tolerowane — mru-
czy stary generał. — Przyzwyczajają ją od dziecka,
a czym skorupka za młodu nasiąknie...

Koniec programu gotuje nam nową niespodzian-
kę: para „cudownych“ dzieci. Zo i Dżek (lat 9 i 10 —
dla ścisłości dodaję, iż imiona są zmienione, lecz wiek
„drukowany“ w programie). Te „cudowne“ dzieci tań-
czą najpierw jakiś dziki amerykański taniec, wyka-
zujący coprawda wyrobienie choreograficzne, ale za-
to pozbawiony piękna i wdzięku. Następnie Zo wy-
biega prawie naga (w cyrku jest bardzo zimno), ale
zato zawiązuje sobie na szyi apaszkę i chowa duży
banknot wysoko za pończoszkę. Na to wybiega Dżek,
chce koniecznie odebrać pieniądze, ona broni, więc
rzuca nią o ziemię i dusi — wszystko według klasycz-
nego wzoru tańca apaszów.

Dzieci na widowni są zaniepokojone. Słychać
ciche zapytania: „co ona schowała?“, „dlaczego nie
do kieszonki?“, „dlaczego oni tak brzydko tańczą?“,
„dlaczego on ją dusi?“.

— Widzisz, Muszko, ja ciebie też tak zduszę, gdy
mi nie będziesz chciała dać twoich zabawek! — woła
przejęty widowiskiem, w płomieniach na twarzy ja-
kiś chłopak.

Muszka zaczyna płakać. Matka wyprowadza
dzieci z cyrku.

I my wychodzimy. Dość, dość tych śpiewających,
grających i tańczących dzieci! Doprawdy, sztuka nie
poniesie żadnej szkody, gdy nie będą się one produ-
kowały; przeciwnie, zyska nawet... Pokazujcie nam
kłownów muzycznych i dowcipnych, wołtyżerki, ek-
wilibrystów, tresowane zwierzęta — ale nie tresowane
dzieci. To takie przykre i takie bolesne!

I słyszę wciąż głosik małej dziewczynki:

— Mamusiu, przecie to małe dziecko! Dlaczego
jej każą bawić ludzi?...

Te słowa — to wyrzut bolesny. Gdy wszystkie
dzieci są wolne, mogą bawić się i uczyć, te biedne ma-
leństwa, tresowane od lat najmłodszych, nie znają
swobody, zabaw z rówieśnikami, nauki. Owszem, cza-
sem uczą ich... żebraniny, czasem wykonywania tań-
ców i produkcji, nie mających nic wspólnego ze sztuką.
Raczej z pornografią.

— Widzisz, ona musi zarabiać — odpowiedziała
matka swej małej córeczce, zaniepokojonej występem
dziecka.

Nie, pięcioletnie dziecko nie musi zarabiać! Nie
wolno używać do pracy zarobkowej nawet i tych star-
szych — Zo i Dżeka — ukazujących publicznie, w o-
becności młodocianych widzów, grozę życia mętów
społecznych i nocne obyczaje ulicy! Istnieje w Polsce
ustawa, zabraniająca zarabkować nieletnim poniżej
lat czternastu, jest też jakaś cenzura widowisk... Mo-
żeby stróże tej ustawy i opieka społeczna zechciały
się bliżej zainteresować tresurą dzieci cyrkowych. Bę-
dzie to miłosierne i zdrowe dla nich i dla widzów.

J. Ł. W.



TEATR NOWY.

„Szalony dzień“ i „Dardamelle“ — sztuki E. Mazaud. Przekład
Gustawa Beylina. Reżyserja Wacława Radulskiego.

Pośpiech jest śmiertelnym wrogiem solidnej pracy teatral-
nej. Zemścił się on krwawo na ostatniej premierze w teatrze
Nowym, kładąc obydwie sztuki Mazaud na wszystkie cztery
łopatki. Przyzwyczajono nas w tym teatrze do tak precyzyjnej
roboty, do takiego cyzelowania dIALOGÓW, stopniowania efektów,
wytrzymywania pauz, że to, czegośmy byli świadkami podczas
ostatniego przedstawienia, wywoływało najprzód zdumienie, po-
tem przestрах. Gdzie my jesteśmy? w Złoczowie, czy w Pru-
żanach, bo że nie w Warszawie — to pewna.

Czy sztuki Mazaud są dobre, czy złe? Nie umiem odpo-
wiedzieć. Ale wiem, że gdyby tak samo zagrano Szekspira, wy-
dałby mi się nieznośnym kabotynem.

„Szalony dzień“ — dIALOGOWANA jednoaktowa nowoletka,
która doskonale pasowałaby do „magazynu“ dla pań z przed
lat trzydziestu — jest podobno przesubtelnym rysunkiem piór-
kowym; ale na scenie zrobiono wszystko, żeby ten rysunek za-
mazać. „Szalony dzień“ zmienił się w „straszna godzinę“ nudy.

„Dardamelle“ — to typowa farsa, w formie groteskowej
zawierająca dydaktyczne wskazówki na użytek zdradzanych
mężów. Ażeby się na niej bawić naprawdę, należy obserwo-
wać publiczność, nie aktorów. Nawet bowiem niezawodny Kur-
nakowicz tym razem zawiódł z kretesem. O innych wykonaw-
cach nie wspominam. Poco robić przykrość ludziom, którzy nie
wiedzą, co czynią?.

Skonfrontowanie ze sobą tych dwóch sztuk robiło wraże-
nie labiryntu wklęsłych lusterek, do którego wepchnięto oglupia-
ją publiczność. Miało się ochotę zrobić jedną rzecz: sparafra-
zować szyl, jaki w drugim akcie maluje „Dardamelle“, i wy-
pisać wielkimi literami nad sceną te słowa:

— „Bałagan pierwszej klasy“.

S. P. O.

TEATR JASKÓŁKA.

„Czary i kolory“. Napisała Janina Morawska. Kierownictwo
art. Haliny Starskiej. Inszenizowała Halina Gallowa.

Nowa placówka kulturalna Związku Obywatelskiej pracy
kobiet, uruchomiona dzięki staraniom niezmordowanej dzia-
laczki społecznej p. Janiny Strzeleckiej — to teatr „Jaskółka“.

Ciekawa próba artystycznego teatru dla dzieci i młodzie-
ży musi być powitana z radością, jak każdy rzetelny wysiłek
w kierunku udostępnienia i krzewienia prawdziwego piękna
wśród młodego pokolenia wszystkich sfer. Warunek nieodzow-
ny: bezpośredniość i prostota wyrazu. Otóż nie wszystkie czę-
ści widowiska w jednakowym stopniu sprostały temu warun-
kowi.

Najbardziej udana była „Zabawa w farby“, która zakty-
wizowała całą dzieciarnię na widowni. Szczęśliwym był rów-
nież pomysł wprowadzenia kłowna Koko z pudelkiem Mniam-
sem, z wyjątkiem epizodu z chorobą pieska i chybionym efek-
tem „śmieć się, pajacu“, który przez dzieci był wzięty całkiem
naturalnie, to jest od strony komizmu, nie zaś współczucia.

„Rozmowa żeglarzy“ była przeznaczona dla młodzieży
starszej, czytanej, znającej nie tylko bajki z „Tysiaca i jednej

nocy", ale i żeglarskie przygody Allana Gerbault. Ciekawa, jako pomysł literacki i realizacja plastyczna, zajęła raczej dorosłych, niż dzieci.

„Antena w karczmie Rzym“ miała na celu skojarzenie bajek o Twardowskim, Jasiu i Małgosi, Kocie w butach i t. p. ze światem nowoczesnych wynalazków. Szkoda tylko, że Karczmarz był ucharakteryzowany na ponurego Lucyfera i budził nerwową grozę w dzieciach, które komicznego djabła z szopki wcale się nie boją.

Niewątpliwie częstszy kontakt zasługującego na jaknajwyższe poparcie zespołu i jego kierowniczek z młodocianą widownią, da im możliwość skorygowania drobnych błędów i ustalenia norm artystycznego wyrazu, najtrafniej przemawiającego do wrażliwej wyobraźni dzieci.

Podnieść należy plastyczny układ Franciszki Kutnerówny w „falach“ i „tęczy“ oraz estetyczne kostjумы, stonowane w kolorze i dalekie od ekstrawagancji. S. P. O.

Z KSIĄŻEK

„Pascha — pieśń o Zmartwychwstaniu Pańskim — kompozycje i rysunki Zofji Stryjeńskiej. Wydał Jakób Mortkowicz.

Zofja Stryjeńska każdy temat traktuje tak, jakby malarstwo od niej się zaczynało. Bez względu na moment historyczny, środowisko, rasę, postacie i tradycje artystyczne, związane ze sposobem ich przedstawiania, daje im zawsze rysy o typie wybitnie słowiańskim i ubiera je w fantastyczne szaty ludowe.

Nie odstępiała od swej zasady i w temacie Zmartwychwstania. Jej Chrystus — to witeź, zmartwychwstający w chłopskich płótniankach i lipowych postołach. Grób, w którym Go złożono, przypomina dworską sklepioną piwnicę pod śpięchrem; Wieczernik, w którym ukazują się Uczniom — to polska chałupa o ścianach z bierwion i belkowanym pułapie; ogród, w którym, jako ogrodnik objawia się Magdalenie — to chłopski sad o bielonych pniach. Trzy Marje, przychodzące z wonnościami do Grobu, ubrane są w stroje wieśniacze, przyczem Matka Boska — to raczej stara, pracą, wiekiem i troską sterana gospodyni w pasiastych chustach i w ludowym czepcu, niż Matka Boga w majestacie boleści i nieziemskiej prostoty. Swobodę swej fantazji Stryjeńska posuwa tak daleko, że, wbrew ustalonym pojęciom, każe swojej Magdalenie być... smagłą brunetką i odziewa ją w zielony, przybrany futrem strój zasobnej mieszczki, czy szlachcianki.

Ta swoboda, która oczom, nawykłym do pewnych tradycyjnych form, mogłaby się wydać rażąca, ma jednak swoje historyczne i artystyczne uzasadnienie. Skoro wolno było mistrzom renesansu dawać swoim Madonnóm oblicza włoszek, holenderek, czy niemiek, i ubierać postacie świętych w szaty, często z tradycją biblijną nie mające nic wspólnego, dlaczegożby nie wolno było malarzowi współczesnemu zlokalizować niejako tematu religijnego, podobnie, jak to się dzieje w jasełkach, gdzie szopka jest kryta strzechą ze słomy, a pastuszkowie w chłopskich katankach dmą w fujarki z wierzbiny.

Taką stylizowaną próbą przeniesienia scen z życia Chrystusa na tło swojskie były niektóre obrazy w „Królowej Niebios“ Stachiewicza. Tylko, że tam nad wszystkim górowało uduchowanie i sentyment religijny, podczas gdy tu spotykamy się, jak zawsze u Stryjeńskiej, z erupcją silnej indywidualności, nie krępującej się żadnymi względami, jeśli chodzi o jej wypowiedzenie się w sztuce.

Z tego punktu widzenia „Pascha“ jest ciekawym przykładem do charakterystyki twórczości Stryjeńskiej i jej epoki, która, nie znajdując w sobie własnego wyrazu uczuć religijnych, maskuje jego brak formami pseudo-ludowymi. S. P. O.

Mieczysław Sterling: „Fra Angelico i jego epoka“. Nakładem księgarni F. Hoesicka. Warszawa 1930 r.

Ciekawa, z wielkim pietyzmem i znajomością przedmiotu opracowana monografia o mistrzu quattrocenta, którego twórczość była malarskim wykładnikiem ideałów św. Franciszka z Assyżu. Ta sama słodycz i pogoda, to samo umiłowanie siostry-przyrody, ten sam uśmiech anielski nietylko w świętości, ale i w męczeństwie.

Układ monografii logiczny i przejrzysty. Autor upatruje genezę twórczości Fra Angelica w „romantyzmie przedświtowej sztuki Włoch“. Z zamiłowaniem maluje tło epoki, z której wyrósł ten samotny kwiat ekstazy religijnej. Na tem tle konsekwentnie przeprowadza rozwojową linię twórczości Fra Angelica, ewolucję jego stosunku do sztuki, od przewyciężenia form średniowiecza, przez pogłębienie wyrazu i monumentalizm kompozycji, do ostatecznego zwycięstwa form renesansowych, które było zarazem zmierzchem i końcem Fra Angelica.

Ta przejściowość, charakteryzująca mistrza z Fiesole, nasywa nam pewne paralele literackie. Przecież Dante był zarazem ostatnim człowiekiem średniowiecza i pierwszym człowiekiem renesansu. Ale, jakże biegunowo odległe od siebie są te dwie dusze, z których jedna jest cała buntem, walką, tragizmem, druga — niezmaconą, nadziejską pogodą. Piekło Dantejskie i naiwny Raj z Sądu Ostatecznego Fra Angelica, gdzie święci i aniołowie, związani w koło taneczne, płasają na kwietnej łące, — oto dwa punkty krańcowe uczuciowych i ideowych horyzontów Odrodzenia.

Fachowa ocena nielicznych u nas znawców epoki niewątpliwie ustali wartości naukowe tej pięknej książki, niezbędnej dla każdego laika, który pragnie się zapoznać bliżej z wyjątkową postacią mnicha z Fiesole, wejść w stosunek zażyły i poufały z jego dziełami, osiągnąć właściwe zrozumienie skarbów barwy i wyrazu w nich zawartych.

Starannie wykonane plansze z jednobarwnymi reprodukcjami najwybitniejszych dzieł Fra Angelica dają czytelnikowi możliwość doraźnego sprawdzenia analitycznych uwag i syntetycznych wniosków autora. Jedną z tych plansz podajemy na str. 5-ej niniejszego numeru. S. P. O.

Kobieta w świecie i w domu

POBUDKA „RODZINY WOJSKOWEJ“

(na apel „oszczędnościowy“ pana Devey'a).

Po amerykańsku ujęta rada pana Devey'a, życzliwego doradcy finansowego Banku Bolskiego, z jaką zwrócił się tym razem nie do Rządu Polskiego, lecz wprost do społeczeństwa, nie pozostanie u nas bez echa.

W zrozumieniu doniosłości tego hasła: „oszczędzajmy!“, Zarząd Naczelny „Rodziny Wojskowej“ organizuje na szeroką skalę imprezy propagandowe, idące w tym kierunku.

Zwracamy się do poszczególnych Kół „Rodziny Wojskowej“ z apelem, by organizowały większe, lub mniejsze wystawy propagandowe towarów i prac krajowych, odczyty, wykłady, jak również konkursy najtańszych i najładniejszych sukien z materiałów krajowych, na wieczorkach „perkalikowych“, no i, oczywiście, w myśl dewizy „Ridendo castigat mores“, także wesołe ankiety na tematy: „Jak odzwyczajając się od zbytku“,

lub „Jak ściągać podatek z pań, popierających import zagranicznych towarów“.

Wydział Kulturalno-Oświatowy Zarządu Naczelnego „Rodziny Wojskowej“ służy chętnie pomocą i wskazówkami we wszelkich tych imprezach.

Ciężki nasz niedostatek finansowy i kryzys gospodarczy ogólnoeuropejski będziemy musiały powetować pogodnym humorem, tradycyjną fantazją i dzielnym polotem artystycznym, którego, na szczęście, nie brak nam jeszcze.

Wiedzą o tem wszyscy.

Wiedział o tem pan Devey, apelując do serc niewieścich.

ZWIĄZEK PRACY OBYWATELSKIEJ KOBIET KU CZCI ORZESZKOWEJ.

Związek Pracy Obywatelskiej Kobiet zorganizował w Sali Rady Miejskiej uroczystą akademię ku czci Elizy Orzeszkowej. Program, obok pięknej muzyki i deklamacji, wypełniły przemówienia. Odczytano „Słowo o Elizie Orzeszkowej“ Zofji Nałkowskiej, przepiękną charakterystykę środowiska wielkiej autorki i jej przywiązania do Grodna, miasta, w którym Orzeszkowa nie tylko mieszkała, lecz z którego uczyniła gród swego trwania i oporu wobec ciemności. Potem zabrała głos p. Janina Strzelecka, która mówiła o Elizie Orzeszkowej, jako obywatelce. P. Strzelecka jest znaną mówczynią i wiadome było zgóry, że mówić będzie dobrze. Otrzymałyśmy więcej: mówiła świetnie, stosując specjalnie charakterystykę wielkiej obywatelki do pojęć i zadań młodzieży.

Wartościowe studjum literackie „Eliza Orzeszkowa jako artystka i powieściopisarka“ p. Huszcza-Winnickiej i artystyczna deklamacja p. Ładosza zakończyły akademię.

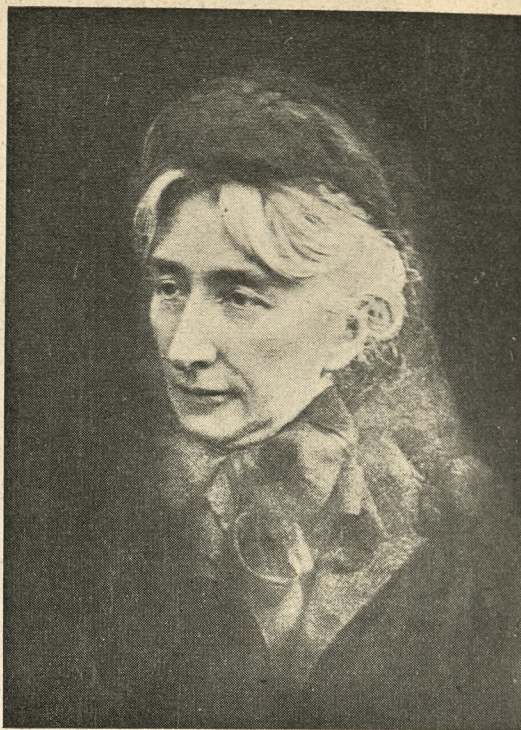
Uzmysławianie najmłodszej części społeczeństwa, ciągłej aktualności idei Orzeszkowej, stawianie wielkiej pisarki, jako wzoru cnót obywatelskich, przypomnienie, ile jeszcze zadań i postulatów, przez nią wytkniętych, wypełnić musimy, jest sprawą ważną i aktualną, sprawą, która młodzież obchodzi i wzrusza. Najlepszym dowodem tego była wypełniona do ostatniego miejsca sala ratuszowa i serdeczny, żywiołowy niemal udział słuchaczy podczas przemówień.

DZIEŁO ARTYSTKI POLSKIEJ NA DWORZE JAPOŃSKIM.

P. Prezydent Rzeczypospolitej ofiarował cesarzowi japońskiemu piękny kilim, wykonany przez znakomitą artystkę, Zofję Stryjeńską. Podajemy jego reprodukcję.



Kilim Zofji Stryjeńskiej.



Cosima Wagner.

ZGON ŻONY WAGNERA.

W Bayreuth zmarła w 95 roku Cosima Wagner wdowa po twórcy „Parsifala“. P. Wagnerowa, przeżywszy męża o długie lata, stała się żywą tradycją jego sławy, najwierniejszą jej strażniczką i przewodnikiem wszystkich muzycznych i literackich interpretatorów twórczości Wagnera.

WYCIEZKA DO WŁOCH.

Z inicjatywy Zarządu Stowarzyszenia „Młode Ziemianki“, odbędzie się w maju b. r. wycieczka na Kongres Unji Międzynarodowej Katolickich Związków Kobietych.

Oprócz udziału w obradach, wycieczka zwiedzi Rzym, Wenecję, Florencję i Assyż.

Wycieczka wyruszy z Warszawy 11 maja r. b. o godz. 14 m. 50, specjalnym wagonem II klasy. powróci 5 czerwca o godz. 15 m. 4.

Pokoje z całodziennym utrzymaniem są zapewnione w Rzymie u Matki Ledóchowskiej i u SS. Nazaretanek.

Koszty wycieczki, z podróżą II klasą, pobytem, paszportem i wpisowem na Kongres, wynosić będą 1050 zł.

Adres biura Młodych Ziemianek, Warszawa, Marszałkowska 149.

KURSY GIER I SPORTÓW.

Państwowy Urząd Wychowania Fizycznego i Przysposobienia Wojskowego, w porozumieniu z Min. W. R. i O. P., organizuje w okresie letnim b. r. następujące kursy dla nauczycieli:

1) Kurs wychowania fizycznego, obejmujący gimnastykę metodyczną, gry ruchowe i sportowe, pływanie, tańce, luzność. Ilość miejsc na kursie — 80. Kurs odbędzie się w Wągrowcu, w czasie od 1 do 20 sierpnia. Zgłoszenia do dnia 15.VI należy nadsyłać do okręgowego urzędu W. R. i P. W. w Toruniu.

2) Kurs metodyki wycieczkowania o charakterze obozu wędrownego, obliczony na 30 osób. Terenem obozu będzie Pomorze, czas trwania od 15.VII do 31.VII. Zgłoszenia należy kierować do Warszawy: ul. Myśliwiecka 3-5, na ręce p. Prażmowskiej. Wszystkim uczestniczkom kursów będzie przysługiwało prawo bezpłatnego przejazdu III-ą klasą do miejsca kursów i zpowrotem.

Szczegółowych informacji udziela Państwowy Urząd Wychowania Fizycznego w Warszawie (Myśliwiecka 3-5), oraz o kręgowy urząd W. F.

ZJAZD KÓŁ GOSPODYŃ WIEJSKICH NA ŚLĄSKU.

Tegoroczny Zjazd gospodyń, zwołany przez Zarząd Śląskiego Związku Kół Gospodyń Wiejskich do Piekar, zgromadził 120 osób przed południem, po południu przeszło 500. Na zjazd przybyły delegatki ze Związku Rolników Śląskich, ze Związku Kat. Młodzieży polskiej, z sekcji kół gosp. wiejskich z Warszawy, ze Związku Kół włościanek wielkopolskich, ze Związku Hodowców drobnego inwentarza, z kooperacji rolnej, Naukowej organizacji gosp. domowego i Narodowej Org. Kobiet.

W przemówieniach gości poruszono najróżniejsze sprawy i sposoby podniesienia stopnia oświaty gospodyń wiejskich, a prelegenci: prof. Włosik, dyr. Zajac i inż. Muchta, treściwie i przystępnie mówili o uprawie truskawek, o chowie krów i drobiu, utrwalając w pamięci zebranych główne zasady osiągnięcia dobrych wyników z tych działów gospodarstwa wiejskiego. Ożywiona dyskusja stwierdzała zainteresowanie obecnych. Najżywsze wyrazy zadowolenia wywołał film drobiowy, wyświetlany na Śląsku po raz pierwszy. Lęgnik wodny, wystawiony na zjeździe, zakupiła gmina Michałkowice, a drugi starostwo Pszczyńskie dla szkoły w Starej Wsi. Zakupiono również nasiona ogórków, fasoli, kwiatów i kilka podręczników rolniczych.

Po zebraniu Zarząd podejmował zaproszonych gości podwieczorkiem, przygotowanym przez uczestniczki Kursu gotowania, urządzonego w Piekarach.

BUKIET ZA 2.500 ZŁOTYCH.

Na zbliżający się sezon angielski, wraz z przyjęciami u dworu, już obecnie zamawiane są obowiązujące podczas t. zw. prezentacji bukiety. W roku bieżącym modne będą zupełnie staroświeckie bukiety, układane koncentrycznie z różnych, bardzo skromnych kwiatuśków, i otoczone papierowym lub jedwabnym mankietem. Niektóre z panien znakomitych rodów, mające po raz pierwszy „zadebiutować” u dworu, zwłaszcza te, które pochodzą z Ameryki, dla których kilkadziesiąt dolarów mniej lub więcej nie stanowi żadnej różnicy, prześcigają się w dobieraniu najdroższych kwiatów. Jedną z tych ekscentryczek

zamówiła sobie bukiet z jakiegoś niesłychanie rzadkiego i kosztownego gatunku orchidei, który to bukiet kosztować będzie „tylko” 2.500 złotych.



P. Gilberta Vacheron.

KOBIETA UMIE CHODZIĆ.

P. Gilberta Vacheron odbyła w rekordowym tempie raid pieszy z Marsylji do Paryża, dokąd przybyła w tych dniach.

KIEROWNICTWO KURSÓW KORESPONDENCYJNYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO

podaje do wiadomości Czytelniczek, że całość nauki gospodarstwa domowego zostanie wyczerpany w 50 zeszytach (800 stron druku).

Prenumerata wynosi dla Czytelniczek „Bluszczu” 6 zł. kwartalnie, czyli 48 zł. za cały kurs. Pojedynczych numerów Kursów Korespondencyjnych Gospodarstwa Domowego w sprzedaży nie będzie. Przedpłatę kwartalną, lub półroczną należy wpłacać na konto P.K.O. Nr 22.355 (blankiety dołączyliśmy do Nr. 14 „Bluszczu”), nie używając tych blankietów do przesyłania żadnych innych prenumerat, lub wpłat.



W odświeżeniu przystrojonych pokojach pachną kwiaty...

SZLAKIEM WSPOMNIENI...

Atmosfera Wielkiego Tygodnia pełna jest jakichś dziwnie podniecających fluidów. Fluidy te mają dar skruszania silnych postanowień, którym na imię — wstrzemięźliwość świąteczna.

O tej wstrzemięźliwości świątecznej zaczynamy myśleć i mówić już w przełomowym momencie, kiedy Wielki Post przekracza hałaśliwie witane półpoście i zbliża nas z każdą godziną do dnia Zmartwychwstania.

Pierwsze nastroje świąteczne są zasadniczo negatywne!

W tym roku Świąt nie będzie! Nie znaczy to bynajmniej, aby skreślono je z kart kalendarza — niechże sobie królują w czyich chcą ścianach, wabiąc wzrok i powonienie tradycyjnymi daniami — jednakże każda z nas postanawia niezłomnie wyzwolić się z pod jarzma chrupiącej skórki prosiąt, indyków, soczystej pokusy szynki gotowanej, waniljowej woni bab, placzków drożdżowych i mozajkowego uroku strojnych lukrem, ciężkich bogatym przybraniem, tortów i mazurków.

Czyż warto bowiem składać na ołtarzu podniebienia z trudem zapracowany grosz, który tak błyskawicznie topnieje w obliczu listy niezbędnych świątecznych zakupów? A co ważniejsze, czy jest choć kropla zdrowego sensu w zaciąganiu zobowiązań, rozłożonych na długie poświąteczne tygodnie, jedynie po to, aby dać się ponieść wielkanocnemu szałowi?

Postanowienia nasze są oparte na zdrowych podstawach — tego odmówić im nie można; mają one jednak stale i niezmiennie jeden słaby punkt: kruszą się o niezwalczoną zaporę — o nastrój Wielkiego Tygodnia.



W tym to właśnie okresie jakiś złośliwy i żądny doświadczeń chochlik otwiera magiczną szkatułkę, z której wydobywają się na świat tysiące, miliony nieuchwytnych i tem trudniejszych do zwalczania podnieć, docierających tajemnymi drogami do naszej wyobraźni. Chwytają się one środków najpewniejszych, zahaczając czułe struny duszy kobiecej. I dusza ta, na wszelkie pokusy pozornie zahartowana, zaczyna kroczyć po drodze kompromisów; wytwarza się dokoła nas atmosfera wspomnień i po tej niebezpiecznej ścieżynie dochodzimy do wniosku, że jednak przejście do porządku dziennego nad „Świątami” — to pewnego rodzaju świętokradcze podeptanie tradycji!

O, biedna tradycjo, która powstajesz, niczem feniks z popiołów, obudzona ze złudnej drzemki widowiskiem kokieteryjnie zakręconych prosiących ogonków, woreczków mąki, znaczonych zszeregowanymi zerami, lasek wanilji, rodzynek, fig i migdałów, a wypowiadasz się — kosztownym święconem!

Wszystkie nasze niezłomne postanowienia padają w gruzy od jednego wystrzału ciężkiego działa, jakim jest nieśmiały u powicia wniosek, że jednak coś przecież na Święta przygotować trzeba!

I oto zaczyna się wynotowywanie, zestawianie, sumowanie, skreślanie — zaczyna się obmyślać plan kampanji! Wiadomo już, że zwyciężcą będzie tutaj Wielkanoc, a zwyciężoną — kobieta!

Jakby za dotknięciem różdżki czarodziejkiej zamilknie głos rozsądku, skruszą się najsilniejsze postanowienia, zostanie tylko żądza całkowitego zatopienia szarzyzny dnia codziennego i gorzkiego posmaku opamiętania w cudownym, pełnym beztroski, nastroju świątecznym.



W cichych wiejskich sadach zakwitają drzewa...

A nastrój świąteczny — to symfonia gorączkowego zmagania się z wszelakimi materialnymi i fizycznymi trudnościami; to pranie firanek, podstawowe porządki; niedospane noce; świeże kwiaty; dobrze rosące ciasto i najwyższa rozkosz każdej kobiety — sprawunki.

Cóż z tego, że prześni się złoty sen iluzorycznej beztroski, jaka w okresie przygotowań przenika domową atmosferę; cóż z tego że po świątecznych dniach pozostanie tylko niesmak, jaki towarzyszy zawsze przeświadczeniu, że zbczyło się własnowolnie z prostej ścieżki — na manowce; że budżet, potraktowany bez najmniejszego zastanowienia i ograniczenia, mścić się będzie długo i uporczywie na całości naszego życia — kiedy kosztem tym dało się oszukać samą siebie, zstąpić na chwilę w krainę wspomnień, przeżyć znów lata młodzieńczego entuzjazmu, gdy to Wielkanocne Święta zdawały się jakimś przedziwnym splotem słonecznych promieni i najradośniejszych nastroi.

Jakaż zasadnicza omyłka tkwi jednak w przeświadczeniu, że wyobraźnia kobieca nie wybiega w tych przedświątecznych i świątecznych dniach poza krąg porządków i święconego! Przeciwnie: wydiera się ona z ram, w jakie ujęło ją życie, w daleki świat minionej przeszłości. Kroczy wyłoczonemi słońcem uliczkami; pochyla się nad błękitną wstążką zakwitających barwinków; drży z lęku, że oto nie zdążą wystrzelić w kwiat cudne żonkile i nie rozwiną się wszystkie, osypane zapowiedzią wonnych kielichów, kiście hiacyntowe; że zostawi poza sobą trawniki, usiane wonnymi fiołkami i złociste kobierce kaczeńców, polne drożyny, bażkami wierzbowemi wonne, wieczory, rozśpiewane melodją fujarek, szmaragdową zieleń młodziutkiej trawy — składając te wszystkie cuda na ołtarzu smutnej konieczności powrotu do mozolnego dnia codziennego.

Pochłonięta napozór szeregiem maleńkich trosk, oddaje się im niestrudzonemi rękami — myślą i sercem daleka, błądzi wśród ścian wystrojonego na powitanie Świąt Zmartwychwstania domu, który żyje

już dzisiaj tylko w jej wspomnieniach. Jest znów dziewczynką, co skreślała uwalaniami atramentem paluszkami dzień za dniem w kieszonkowym kalendarzyku, nie mogąc się doczekać świątecznych wakacji. Przeżywa mistyczne nastroje wielkanocnej spowiedzi, chwyta pożądliwemi rączkami migdały i rodzynki, które mają przedziwny smak owocu zakazanego, jeżeli uda się wcisnąć je do zaróżowionej podnieceniem buzi w chwili jakiegoś zamieszania, sprzyjającego przekroczeniu zakazów; łowi uchem zbliżający się za każdym obrotem kół turkot bryczki, wiozącej księdza, i drży z lęku, aby nad pięknie wystrojonym stołem wielkanocnym nie uniosło się kropidło z chwilą, gdy zgaśnie na niebie wiosenne słońce; albowiem w myśl staropolskiego przesądu święcenie po zachodzie słońca oddaje wielkanocne przysmaki na pastwę rzucających się łapczywie na te wszystkie skarby — mrówek.

W duszy tej zrównoważonej, opanowanej pani domu, która jeszcze wczoraj nie знаła odchyłeń, powstaje naraz jakiś nowy, zaczarowany świat — unosi się zasłona, poza którą kryła tęsknotę za poematem dzieciństwa i młodości. Zmęczona pracą i troską długich lat, zrzuca naraz z ramion cały ciężar przeżyć, rozwija znów do lotu śmiało, bujne skrzydła; i wszystko to, co z takim śmieszem dla postronnego widza przejściem tworzy w ostatnich dniach Wielkiego Tygodnia, to, czem nieraz zadziwia, a nieraz nawet gorszy domowników i znajomych, podatnych krytyce — jest dalekie od zwodniczego pozorów. Niema w tej żądzy obleczenia Świąt Wielkanocnych w utartą zwyczajem szatę nic małostkowego i nic lekkomyślnego — jest jedynie pełne pietyzmu zasłuchanie się w głos



*Jakże trudno wyzłócić się z pod jarzma przyzmyczajeń...
Photo-Atlantyc.*

przeszłości, przemawiający do każdej z nas władcami słowami.

Nawet realizm — ten władca, to hasło dnia dzisiejszego — nie zdoła zawrócić nas ze szlaku wspomnienia. Jest w niem bowiem błogosławieństwo lat, owianych beztroską, radością życia i słodyczą kochania — jest jasność i od zgrzytów życia harmonijne wytchnienie.

Wbrew wyrozumowanemu przeświadczeniu, że obchodzenie Świąt przez wznoszenie im ołtarzy z jadła i napojów powinno stać się przeżytkiem w dzisiejszych ciężkich czasach — nie umiem spojrzeć w głąb tych, opanowanych świątecznym szalem, domów rodzinnych inaczej, jak z najszczerzem rozczuleniem. To też, daleka od bagatelizowania wielkiego misterjum trosk i radości wielkanocnych, słę wszystkim dobrym wróżkom, co wyczarowały w swych ścianach dobrym uśmiech i rzuciły chociaż małą cząstkę współczesnej duszyczki na szalę wspomnienia i przeszłości — najserdeczniejsze świąteczne życzenia Wesołego Alleluja.

Wanda Dobrzańska.



JEDWAB, PERKAL, CZY TO, CO NAJWAŻNIEJSZE?

II.

KUPUJĄCY PROSZĄ O GŁOS!

Pomijając wysokość technicznej produkcji, której znaczenie nasi fabrykanci dobrze rozumieją — a więc trwałość barwników i inne zalety utylitarne — musimy przyznać, że strona estetyczna naszych tkanin: deseń i barwy — są częstokroć horendalne. Nie świadczy to bynajmniej o wyższości towarów importowanych. Inteligencji i fachowi rzeczoznawcy (na czem, na Boga, polega ich cenzus artystyczny?!), wysyłani przez naszych fabrykantów, zwożą niemniej obskurne „nowości“ zagraniczne.

Najnieszczęśliwiej przedstawia się właśnie, niestety, bawełna. W jedwabiach jest większy wybór i dlatego także trudniej będzie odciągnąć od nich kulturalniejszych nabywców.

Jeżeli więc czynniki miarodajne słusznie skłaniają nas do nabywania krajowych towarów, niech pomogą nam podnieść estetyczny poziom tkanin. Fakt znamienny: tenże jedwab łódzki dla Paryża wykonywa się według przysłanych stamtąd wzorów. Nie ufają naszym fabrykantom — i słusznie.

Zaiste, zjazd kierowników artystycznych naszych fabryk i warsztatów, ich kompozytorów i rysowników zgromadziłby towarzystwo zgoła osobliwe, a skuzynowane blisko z malarzami pokojowymi, przedstawiającymi nam do wyboru cięte w blasze szablony róż i winogron. Zbadanie ich kwalifikacyj estetycznych dałoby smętne wyniki. W towarzystwie

tem dobrzeby się czuli, pokrewni duchem i wykształceniem, dekoratorzy wystaw. Nie rozumieją oni, że można obrzydzić oku najcudniejsze kwiaty, o ile się je zestawia w koszach w sposób, który aż nazbyt często mamy nieprzyjemność oglądać, a zrobić arcydzieło bryłowej kompozycji z rondli i tasaków.

Tak już u nas jest, że absolwenci akademii sztuk pięknych i artystycznych szkół zawodowych — sobie, a kierownicy fabryk i warsztatów — sobie. Jedni głodują albo robią znaczki kotyljonowe w karnawale, a drudzy zarabiają, żerując na naszej ignorancji w tej dziedzinie. W jednym tylko wypadku zrozumiano doniosłość fachowości artystycznej: wystawy dawniej urządały przygodne paniusie, potem tapicerzy, wreszcie — jak na wystawie poznańskiej — artyści. I wynik był pomyślny. Te dwa obozy: artystów i fabrykantów (rutynistów i pseudoznawców praw popytu) ciągle nie mają sobie nic do powiedzenia. Najwyższy czas, aby się wdały w przyjacielską pogawędkę.

Wielka, bardzo wielka wina leży po stronie naszych artystów. Zamykają się w ścisłe klany i, często wrogie sobie, koterje. Organizują wprawdzie na własną rękę drobne warsztaty i spółdzielnie, które są doskonałym terenem artystycznych prób i technicznych doświadczeń, nie zdołają jednak ogarnąć tych kręgów zapotrzebowań, co fabryczna produkcja. Nie chcą też w żaden sposób „wtrącić się“ do niej.

A w nas — szerokiej masie publiczności — nurtują nawet nie echa, ale tu i owdzie zasłyszane plotki o nowych prądach, kierunkach estetycznych, których ilustracje widzimy od czasu do czasu w pismach, i w dalszym ciągu — nic. Pijemy z filiżanek z fioleczkami, siedzimy na „stylowych“ meblach, stąpamy po nalewkowskich dywanikach, stół pokrywamy „gobelinem“, ubieramy się nieraz w szkaradzieństwo, od których barw i deseni oko bieje!

Zapewne: nie każdy może być fachowcem — ale nie każdy jest lekarzem, a wiemy wszyscy, że zdrowo jest otwierać okna i jeść owoce. Może za lat pięćdziesiąt witaminy staną się przestarzałym absurdem i będziemy uważali za punkt honoru jadać coś innego. Ale przynajmniej pod tym względem jesteśmy wykładnikiem swojej epoki. Niech sztuka stosowana popularyzuje się chociażby w granicach — otwierania okien i witamin. Tymczasem naszym poglądom estetycznym to nieszczęśliwe „wczoraj“ niemiłosiernie depce po piętach.

Ponieważ jednak każde hasło dnia musi być podjęte — milczących artystów wyręczają krzykliwi spekulanci. Dają nam tę nowoczesność, ale w postaci, od której Boże ucho! Nie brak też naiwnych i w dobrej wierze działających szkodników estetycznych. Od czasu, jak np. kilimy i wogóle wszelka ludowość zaczęły poniekąd obowiązywać — namnożyło się warsztatów i fabryczek, wyrabiających produkcje, „oparte na motywach ludowych“. Jeszcze lepiej: ludowi podaje się ulepszone wzory! Kupujemy i czujemy się podwójnie uszczęśliwieni: znawstwem i patriotyzmem.

Artyści dobrze wiedzą o tem, ale — milczą. Zechciejmy i ich zrozumieć: projekty swoje uważają ciągle za zbyt mało doskonałe, aby je puścić na szerzący rynek. Zawsze tam wszystko u nich jest jeszcze niedość ulepszone. Boją się nawet reklamy! Tymczasem odpadki od ich niedoskonałości jeszczeby wyżywiły głodne rzesze — w braku czegoś lepszego, opar-

tego o autorytety, skupujące wszystko, o czym subjeKT powie: „nowoczesne“. Jeśli więc nie chcą mówić, niech chociaż ostrzegają, bo na wpadanie z tandety wczorajszej w tandetę dzisiejszą — doprawdy szkoda nam pieniędzy i fatygi.

Rzeczywistym więc hasłem dnia i rzetelną podwaliną wyścigu pracy powinno być przede wszystkim skoordynowanie ludzi z robotą. Właściwych ludzi na właściwe miejsca! Jeśli już wypowiadać się konkretnie (nie, jak to się zwykle robi na zebraniach: najpierw spóźnienie, potem fotografia, a jeszcze później — frazesy): czy artyści nasi — właśnie w dziedzinie sztuki stosowanej — nie mogliby odbyć wycieczki po przemysłowych ośrodkach, zwiedzić huty (jakże wdzięcznym materiałem jest np. szkło!) i fabryki, porozmawiać z ich właścicielami lub kierownikami (technicznymi — bo artystyczni spuszcza psy z łańcucha!), pokazać swoje projekty i poprosić o próbny warsztat na marginesie danej fabryki, aby się oswoić z arkanami technicznymi? Mają w ręku ogromny atut! Nasz głód nowości, który (z winy tychże artystów, zupełnie np. nie pisujących artykułów popularnych), nie mogąc przybrać formy *znarostwa*, jest jednakże potężną dźwignią wszelkiej nowoczesności — *snobizmem!* Włot zmiarkowaliby to fabrykanci!

Dla ich zachęty podam mały przykład: wystawę „Najmniejsze mieszkanie“ na Żoliborzu. Czy można przypuszczać, że dążące na nią tłumy zostały zwabione przez wykresy, projekty na papierze i materiały budowlane? To wszystko mogło zainteresować jedynie fachowców-architektów. Ale padło magiczne słowo: „wnętrze“ — i dopchać się nie było można. Inna rzecz, że okazało się to nabieraniem, bo „wnętrza“ były przygodne i bylejakie. Ale atrakcja zrobiła swoje.

Idźmy dalej. Przypuśćmy, że tkaniny (bo chodzi nam tu o ten dział przemysłu) zostały — w mniejszej lub większej ilości — wyprodukowane przez należyty zespół: artystę i robotnika. Dla odpowiedniego zareklamowania tych, powiedzmy, stu sztuk perkalu (tak!), jedwabiu, czy satyny trzebaby już zerwać z tradycją bezinteresowności w produkcji fabrycznej. Jeśli wieszamy na ścianie obraz, lub obstalowujemy projekt willi u architekta — jego nazwisko jest jednocześnie atrakcją produkcji artystycznej i wskaźnikiem jej realnej wartości. Artysta, projektujący dla fabryki, ma te same prawa.

„Jaką pani ma śliczną sukienkę!“. „Tak, to projekt pani X. Jej tkaniny najbardziej mi odpowiadają. „Wypuściła“ teraz prześliczną satynę na szlafroki“. — „Mam coś dla pani! W tym sklepie na Marszałkowskiej widziałam markizetę projektu pana Y. Pamięta pani jego prześliczne kreacje na ostatniej wystawie (tak!) letnich tkanin? Jego fabrykant dostał zamówienie na 500 tysięcy dolarów z Ameryki“. — „Czy słyszała pani, że w Paryżu uważa się za *dernier cri* jedwabie, projektowane przez naszą panią Z? Nie może podobać zamówieniom!“.

Tego rodzaju rozmowy na wizytach i herbatkach bynajmniej nie są utopją! Najbliższy sezon mogłby je zaktualizować. Rzecz jasna, że po zapewnieniu sobie odpowiednich sił artystycznych fachowych fabrykant i kupcy (tak w hurcie, jak w detalu) powinni postarać się o odpowiednią reklamę. Reklama naszych towarów! Już nie wiadomo, płakać, czy śmiać się z tego tchórzliwego niedołęstwa, z jakim wieszają się na ścianach sklepu: „Zanim kupisz towar zagra-

niczny — obejrzyj krajowy“. — Dotychczas nie doszliśmy do rozróżnienia towaru krajowego od zagranicznego! Zależnie od tonu kupującego i jego przypuszczalnych intencji, kupiec jedną i tę samą sztukę kilkadziesiąt razy dziennie przedstawia naprzemian, jako zagraniczną i krajową. Podobne oszustwa wymykają się z pod wszelkiej kontroli, zaś abrakadabra znaków i stempli dla kupujących jest zupełnie niedostępna.

Sprawę tę dyskutowano na zebraniu Ligi Samowystarczalności Gospodarczej. Jako wskazówka orientacyjna, padła wiadomość, że towary, stemplowane Szulc i jakaś tam spółka, są niewątpliwie krajowe. Ale skądże mamy o tem wiedzieć?

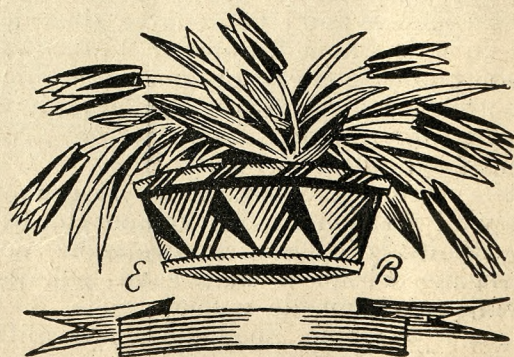
To są już rzeczy skandaliczne. Czy nie najwyższy czas wydać dwa prymitywne zarządzenia policyjne: wyraźnego, jasnego stemplowania towarów krajowych znanem wszystkim, jaskrawo rzucającym się w oczy, godłem, oraz surowych kar pieniężnych na kupców, sprzedających towar zagraniczny, jako krajowy, i — naodwrot.

Równoległe z tem możnaby pomyśleć o podniesieniu estetycznej wartości naszych tkanin (i innych wyrobów), indywidualizując je, podając do ogólnej wiadomości nazwiska projektujących. Byłby to ważny krok na drodze nietylko wzmożenia naszej samowystarczalności, ale eksportu na jaknajwiększą skalę. Nasza niewykonalność i niedołęstwo eksportowe jest niewątpliwie trzecią bolączką.

Czytaliśmy już wszyscy o ciekawych wynikach wystawy lipskiej, gdzie było sporo naszych eksponatów — pamiętamy też następujący drobny fakt: Jakiś amerykańczyk zainteresował się glinianymi kogutkami, tak rozpowszechnionymi na jarmarkach. Zamówił tych kogutków dla stu domów handlowych. W rezultacie — zdumienie, popłoch i płaczliwe: nie możemy! Nie możemy zmobilizować (przy obecnym bezrobociu!) rejonu wsi, wyrabiających gliniane świstawki, i zapewnić im korzystny hurtowy zbył! Na szczęście, udało się jakoś zaryzykować przedstawicielowi „od kogutków“ przyjęcie tego obstalunku. Wystawy zagraniczne obfitują w tego rodzaju rewelacje. Świetne, kokosowe okazje eksportowe rozbijają się o niedołęstwo i brak odwagi. Może majowe międzynarodowe targi w Budapeszcie wykażą więcej naszej gotowości eksportowej.

Najsmutniejsze jednak jest to, że o podniesieniu poziomu naszych tkanin, o sposobach reklamy — musi pisać nie ekonomista, nie przedstawiciel sfer rządzących, nie artysta — tylko nieświadomiona, beziemienna, zgubiona w tłumie — paniusia kupująca.

Wanda Borudzka.



PRZYJĘCIA WIELKANOCNE

Pojęcie to jest niesłychanie rozległe, a właściwie jest tyle różnych pojęć, ile różnych rodzajów przyjęć w czasie Świąt Wielkanocnych urządzać można. Przyjęcie dla najbliższej rodziny lub przyjaciół; na osób kilka, kilkanaście lub kilkadziesiąt; ranne — na śniadanie; popołudniowe: na wczesny lub późniejszy obiad, podwieczorek, kolację — i tak możnaby wliczać jeszcze różne kombinacje.

Jeśli sięgniemy do skarbnicy zwyczajów i obyczajów dawnych, to w miastach każdy gość, który dom w czasie dwóch dni świątecznych odwiedzał, bywał kolejno częstowany wszystkim, co się znajdowało na stole — zaczynając od jajka i szynki, a kończąc na niezliczonych tortach i mazurkach — i musiał, nie chcąc obrazić gościnnych gospodarzy, wszystko podane skosztować, nieraz ze szkodą dla zdrowia.

Na wsi święcone bywało spożywane bardzo uroczyście, ze specjalnym ceremoniałem. Nie nakrywano go w jadalni, pozostawionej w tym czasie tylko do krótkich posiłków — rannej kawy, lub podwieczorku z ciastami. W jakimś mniej potrzebnym, odpowiednio dużym pokoju zastawiano olbrzymi stół, na którym figurowały wysokie sękacze i baby, ogromne szynki i indory, paszety i różna zwierzyna (wówczas zakaz polowania nie był tak surowy, jak dzisiaj). Pośrodku stołu piramida, obsiana rzeżuchą, z barankiem z masła na szczycie, kryła we wnętrzu olbrzymią głowę dzika, lub wieprza, z nieodzownym czerwonym jajkiem pomiędzy olbrzymimi kłami. Takie samo jajeczko trzymało w ryjku pieczone prosię. Stół zdobiły wiosenne kwiaty — hiacynty i tulipany, primulki i cynerarje — zupełnie takie same, jakie dzisiaj kupujemy dla ozdoby naszych stołów. Brzegi obrusów okalały długie sploty licopodjum, a w każdy mazurek i każdy półmisek z mięsiwem były zatknięte gałązki barwinku, lub zieleni borówek. Jaja farbowane liczone na kopy i prześcigano się w pomysłach ich zdobienia.

Pokój z takim święconem bywał przeważnie zamykany w sobotę wieczorem, po poświęceniu go przez księdza, i dopiero rano, po powrocie gospodarzy i gości z kościoła, otwierały się jego podwoje. Dalej rozmaicie sobie radzono. Były dwa zasadnicze sposoby jedzenia święconego, które spożywano przeważnie na stojąco. W domach, gdzie dbano o pewną etykietę i komfort, kucharz w nieskazitelnie białej kurcie i szlafmicy, uzbrojony, niczem czerkies, w kolekcję ostrych noży w skórzanym pochwie, zwieszającej się u pasa, krajał kolejno szynki, zwierzynę i drób, a lokaje podawali je gościom wraz z sosami, sałatami i t. p. W innych domach — nawet w zwykłym czasie niezłe prowadzonych — uważano za zgodne z tradycją, aby każdy sam sobie nietylko nabierał z półmisek, lecz nawet krajał mięsiwo dla siebie. Jak wyglądał stół po takim amatorskim krajaneniu, lepiej nie wspominać. Po należytem nasyceniu, a często — przesycaeniu — pokój ze święconem znów zamykano do następnego posiłku, których było cztery co najmniej, a jeśli grono gości niespodzianie w ciągu dnia się powiększyło — to i więcej.

Na wsi i dzisiaj, jeśli dom jest zamożny, a goście na święta się zjadają, dzieje się mniej więcej to samo.

Może nieco zmniejszyły się ilości — zamiast kilku szynki i tyluż indyków, gotuje się i piecze po dwie, lub nawet po jednej. Nie wszędzie wychodzi wspinały kuchmistrz, bo nie wszędzie taki jest — zwykle jakaś gospodyni przed każdym posiłkiem ponakrawa ładnie mięsiwa i ciasta i naszykuje sałaty i sosy. Jada się tak samo po razy kilka w całym gronie domowników i gości.

Inaczej dzieje się w mieście. W najbardziej gościnnych domach częstuje się niespodzianych gości kieliszkiem wina i tortem lub mazurkami. Na śniadania i obiady przychodzą tylko zaproszeni goście, albo tak bliscy krewni i przyjaciele, którzy i w czasie zwykłym niemal domownikami się czują. To też zwyczaj szycowania tak obfitego święconego coraz bardziej zanika. Ciast się piecze sporo, bo są smaczne i trwałe i właściwie raz na rok tylko wypieka się je w domu — jeśli nie liczyć strucli i pierników na Boże Narodzenie. Mięsiw się przyrządza ściśle tyle tylko, ile rodzina i ci najbliżsi, nieomal do niej należący, w ciągu dwóch lub trzech dni spożyć mogą.

O ile więc przewidujemy najbardziej obecnie rozpowszechnioną formę przyjęcia — tak zw. „five“, czyli podwieczorek — to żadnego kłopotu dla gospodyni przedstawiać on nie może. Przeciwnie: nigdy w innym czasie nie jest ona tak dobrze do niego przygotowana. Wszelkich ciast ma obfitość, wina i likiery przeważnie zakupione. Kawa i herbata, ewentualnie nieco owoców lub gotowych kompotów — i strona kulinarna w porządku. No, a jeżeli — jak to, w Warszawie szczególnie, przeważnie zawsze bywa — goście się zasiedzą i pozostaną na kolacji? I to nie jest straszne: wszak szynka i jakieś parę gatunków pieczystego są w każdym domu i przekąskę zaimprovizować nie trudno.

A jeżeli goście są proszeni na cały wieczór?

Naturalnie, wtedy obowiązuje solidniejsza kolacja, zawsze z tradycyjnych zimnych mięs złożona. A do tych mięsów sosy i sałaty, marynaty i kompoty. Tylko nic nie należy podawać, ani nawet obnosić: wszystko stoi na stole i goście sami sobie nabierają i jedzą — siadając, jeśli gdzie usiąść można, stojąc, jeśli miejsca brak. Wszystkie mięsiwa muszą być pokrajane, o ile się da, w taki sposób, aby zupełnie były zdjęte z kości, gdyż okrawanie kości na stojąco jest niemożliwe, i wówczas pieczystego nie zjada się, tylko na talerzach marnuje.

Jedynie gorące dania — to barszcz i rosół czysty, podawane w filiżankach po parę razy w ciągu kolacji, gdyż jedni od barszczyku jedzenie zaczynają, inni na nim kończą. Gdy goście przejdą od solidnych mięsów do ciast, należy zacząć obnosić kawę i herbatę; można też podawać kruszon, gdyż najsmaczniejsze mazurki bez jakiegoś napoju w większej ilości przelknąć się nie dadzą.

Taka wielkanocna kolacja w założeniu samem jest nieco chaotyczna, gdyż nietylko w picu barszczu ludzie się różnią. Jeśli jedni zaczynają od szynki, to drudzy od indyka; inni uważają, że szynka tylko w połączeniu z cielęciną dobrze smakuje; jeszcze inni, znudzeni ciągłą szynką i białym mięsiwem, szukają pracowicie zwierzyny, sztufady lub rostbefu. Niech się tem gospodyni nie martwi: byle wszystkiego było dosyć, byle wszystko było smaczne, a przytem dostateczna ilość naczyń i szkła na zmianę — reszta sama się ułoży.

Pani Elżbieta.



LATWA BABA WANILJOWA.

Na pół kilo maki rozpuścić pięć deka drożdży w pół szklance letniego mleka, dolać jeszcze półtorej szklanki takiegoż mleka, wybić doskonale, przykryć miskę czystym płótnem, postawić w ciepłe, aby rozczyń podrosł. Pół malej lub ćwierć dużej laski wanilji utłuc z cukrem, mocno rozcierając tłuczkiem wanilję, i przesiał przez gęste sitko. Sześć żółtek utrzeć do białości z niedużą szklanką cukru, wsypać cukier waniljowy, dodać do ciasta. Dosypać drugie pół kilo maki, łyżeczkę od herbaty soli, pół szklanki sklarowanego masła. Wyrabiać długo i starannie, aż ciasto zupełnie od rąk odstanie. Dać mu podrosnąć w ciepłe poraz drugi. Tymczasem przygotować formę blaszaną lub kamienną, wysmarować ją dobrze masłem, wysypać bułeczką. Dobrze wyrosnięte ciasto przelożyć do jednej dużej, lub dwóch małych form. Dać podrosnąć poraz trzeci. Wsadzić w dobrze gorący piec. Po godzinie spróbować patyczkiem: jeśli patyczek czysty i suchy — baba gotowa. Wyjmować jak zwykle, na pokrytą papierem poduszkę.

PLACKI Z KRUSZONKĄ LUB POLEWĄ.

Do dwóch szklanek zagotowanego i nieco przestudzonego (letniego) mleka wsypać cztery szklanki suchej, przesianej maki, dodać pięć deka drożdży, rozpuszczonych w paru łyżkach mleka, przykryć miską, postawić w ciepłe, aby rozczyń podrosł. Cztery jaja całe rozbić do białości ze szklanką cukru, wlać to do ciasta, dodać skórkę z całej cytryny, otartą na tarce, łyżeczkę soli i dobre pół szklanki sklarowanego masła, maki zaś tyle, aby ciasto dało się zagnieść dosyć wolno, jednak tak, by po dłuższym wyrobieniu od rąk odstało. Robić placki, grube na półtora palca (powinny więcej, niż drugie tyle, urosnąć przy pieczeniu) i dać ponownie podrosnąć. Tymczasem utrzeć doskonale szklankę suchej maki z pół szklanką cukru-pudru i dziesięcioma deka tłustego masła, poskubać to na drobiutką zaciereczkę i posypać posmarowane jajkiem placki. Do zaciereczki tej dodać dla zapachu trochę skórki cytrynowej, lub utłuczonego kwiatu muszkatolowego.

Zamiast posypywania kruszonką można taki placek polać następującą polewą. Dziesięć deka cukru-pudru, dziesięć deka masła, sporą łyżkę maki, trochę skórki cytrynowej lub kwiatu muszkatolowego utrzeć razem i smarować tem placki zamiast żółtka. Można jeszcze na to posypać szafkowanych migdałów.

CIETRZEW NA STÓŁ WIELKANOCNY.

Cietrzew jest jedyną zwierzyzną, jaką w czasie Wielkanocnym zdobyć można, gdyż zakaz polowania nie tyczy się samców cietrzewi na toku. Skubiąc cietrzewia, należy odciąć głowę i szyję z pierzem, wspaniały wachlarzowaty ogon i skrzydła, rozpiąć je ładnie na drutach i ususzyć, wieszając w bardzo ciepłym miejscu nad blachą lub wkładając po razy kilka w piec, jeszcze ciepły po chlebie — jednak nie zanadto gorący, aby się pióra nie spaliły, a tylko mięso na kościach dobrze się ususzyło. Cietrzewia zamarynować w occie, jeśli jest stary; jeśli młody — tylko dobrze wymoczyć, naszpikować słoninką, lub owinać dużym płatem słoniny i upiec, jak zwykle; zastudzić. Przygotować podstawę czworokątną (w kształcie niedużej cegły) z czarnego, czerstwego chleba. Przypiąć do niej głowę z szyją,

skrzydła i ogon, starając się nadać ptakowi jaknajładniejszy kształt. W środku, pomiędzy skrzydłami, położyć krążek, wycięty z grubego pergaminu, aby mięso nie dotykało pierza. Na tym pergaminie ułożyć ładnie pokrajanego i w całość ułożonego cietrzewia. Wkoło przybrać półmisek zielonym jarmużem lub sałatą.

SOS CHRZANOWY, ZIMNY, ZE ŚMIETANĄ.

Spory korzeń chrzanu utrzeć na tarce, nieco osolić, pocu-krzyć, skropić octem i pozostawić na godzin parę, aby zbytnią ostrość stracił. Zasmażyć łyżkę maki z łyżką masła na biało, rozprowadzić pół szklanką zimnego rosolu lub wody, zagotować, ostudzić. Masa ta powinna być bardzo gęsta. Zmieszać ją dokładnie z chrzanem, dodać szklankę najgęstszej śmietany, wymieszać i podawać do zimnej wieprzowiny, prosięcia, nóżek w galarecie i t. p.

ZIMNY SOS POMIDOROWY.

Pół butelki dobrej konserwy pomidorowej, domowej (przyrządzonej bez gotowania, tylko z salicylem), przetrzeć przez gęste sito, aby usunąć ziarenka i udusić z dwiema cebulami, drobno pokrajanymi i pół filiżanką dobrej oliwy. Gdy cebula zupełnie zmięknie, przetrzeć sos jeszcze raz przez sito, dodać doń łyżkę maki, rozbitej w szklance zimnego rosolu lub wody, zagotować raz jeszcze, nakoniec dolać dobrego octu — więcej lub mniej, zależnie od gustu, jednak tyle, żeby sos był wyraźnie kwaskowy; zagotować poraz trzeci i ostudzić. Można też, dusząc z cebulą, włożyć kilka ziarn pieprzu, ziela, listek, parę goździków, lub wsypać łyżeczkę łagodnej papryki, a sos będzie aromatyczniejszy i ostrzejszy. Wyborny sos do zimnych mięs, szczególnie do sztufady lub rostbefu.

SUROWY KOMPOT Z SUSZONYCH ŚLIWEK.

Czterdzieści deka dobrych śliwek suszonych umyć w paru wodach, włożyć w garnek kamienny lub salaterkę i zalać litrem wody, zagotowanej z czterdziestoma deka cukru. Przykryć pokrywą i trzymać w chłodnym miejscu dwie doby, aż śliwki nabrzną i wypiją większą ilość syropu. Na sześć godzin przed podaniem wsypać drobniuchno usiekaną skórkę (tylko żółtą) z pomarańczy lub mandarynki. Podając, przelożyć na kryształową kompotjerę. Taki kompot zawiera dużo witamin i doskonale może zastąpić kompot ze świeżych śliwek. Można go zaprawić kieliszkiem araku lub maraskina.

MAZUREK POMARAŃCZOWY

Trzydzieści deka maki pszennej, dwadzieścia deka smalcu lub tłustego masła, na koniec noża soli i piętnaście deka cukru-pudru zagnieść z paru łyżkami wody na kruche ciasto. Ciasta kruchego nie należy długo wyrabiać, gdyż staje się twarde, gliniaste; skoro tylko przestanie się rozsypywać — gotowe. Wynieść je na chłód na godzinę. Rozwałkować na centymetr grubości, zrobić wkoło cieniuchny rancik z tegoż ciasta i upiec w dobrze gorącym piecu do ładnego zrumienienia.

Dwie duże pomarańcze malinowe o grubej skórce, dwa lub trzy jabłka kwaskowe (ważące najmniej tyle, co pomarańcze) i jedną cytrynę utrzeć razem na tarce, lub lepiej, przepuścić przez maszynkę do mięsa, nie obierając ani jednych, ani drugich. Zależnie od tego, czy lubimy mazurek słodszy, lub mniej słodki, bierzemy czterdzieści deka lub pół kilo cukru. Robimy ulep ze szklanki wody i tego cukru, na gotujący się wkładamy przetarte owoce i smażymy wolno, często miesząc od dna, aż masa zacznie gęstnieć. Wykładamy ją równą warstwą na kruchą podstawę i dajemy zastygnąć do dnia następnego.

Wobec obecnej drożyzny pomarańcz, mazurek ten jest szczególnie godny polecenia; w smaku przewyższa mazurki, robione z samych pomarańcz.

Pani Elżbieta.



289

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17 zł. 40 gr.,
rocznie — 69 zł. 60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7 zł. 20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu” — Warszawa, Plac Zamkowy 9.

Konto P. K. O. — Warszawa Nr. 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”, Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelną) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Ekspedycja: ul. Górnośląska 19, tel. 244-75

Druck. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ”. Rymarska 8, tel. 244-18.

Nasza Mównica

Nazywajmy rzeczy po imieniu!

Wydaje mi się, że dyskusja nad sprawą karalności przerywania ciąży, która dziś tyle umysłów zaprzęta, jest wielkim nieporozumieniem, wynikiem z używania niewłaściwego określenia. Nazwijmy rzecz po imieniu, a wtedy sprawa cała przestanie nam się wydawać tak trudną i zawiłą, a rozstrzygnięcie jej narzuci nam się wprost samo przez się, nieodpartą siłą logiki.

Powszechnie używany termin: „przerywanie ciąży” brzmi „naukowo”, technicznie, dla mało krytycznych umysłów zgoła niewinnie. Trochę gorzej wygląda: „spędzanie płodu”, ale i to jeszcze nie wszystkich razi. Szkoda, że nikt w dyskusji nie używa właściwego określenia tego zabiegu, który przecież nie jest niczem innym, jak zabójstwem dziecka w łonie matki. Zabójstwem, dokonaniem z premedytacją, zupełnie na zimno, często z całym aparatem kunsztownych a przewrotnych dowodzeń, mających uzasadnić konieczność dokonania zbrodni! Kto mi dowiedzie, że to nieprawda, że odbieranie życia nie jest zabójstwem? I kto, w najłagodniejszym i najliberalniejszym prawodawstwie, ośmieliłby się żądać zniesienia kar za zabójstwo?

Zwolennicy zniesienia artykułów 141 i 142 dowodzą, że artykuły te i tak są właściwie niezyciowe, a ciężar ich spada głównie na warstwy niezamożne, nie mogące sobie pozwolić na fachową pomoc. Przypuśćmy; ale jeżeli tak jest, to czemu by nie zastosować tego samego rozumowania i do innych artykułów kodeksu karnego? Czemu by, np., nie żądać niekaralności wszelkiego rodzaju nadużyć i kradzieży, skoro nie wszyscy ich sprawcy są wykryci i dostają się za kraty? I czy to sprawiedliwie, że łatwiej ofiarą prawa pada mniej wykształcony przestępca, pozostawiający na miejscu zbrodni odciski brudnych palców, a bezkarny pozostaje często ten, bardziej wyrafinowany, operujący w gumowych rękawiczkach?...

Rozumiem doskonale, że kary nie wyrwą zła z korzeniem, że stokroć ważniejsze jest tu oddziaływanie moralne i urabianie opinii publicznej. Jasną jest jednak rzeczą, że zniesienie kar utrudniłoby to oddziaływanie i przyczyniłoby się do pogłębienia chaosu pojęć moralnych. Jak straszny zaś jest ten chaos, o tem świadczą przytoczone w Nrze 12 „Bluszczu” uchwały Tow. Kryminologicznego, Klubu Politycznego Kobiet Postępowych oraz Robotniczego Tow. Służby Społecznej, wypowiadające się za niekaralnością przerywania ciąży przez lekarza w ciągu trzech pierwszych miesięcy. Prawda, że niebezpieczeństwo operacji dla życia matki jest wtedy znacznie mniejsze. Czy jednak zmienia się przez to moralne wartości czynu? Wiemy, lub wiedzieć powinniśmy, że dziecko otrzymuje duszę nieśmiertelną w chwili poczęcia; jakaż więc różnica, czy duszę tę damy na zatrącenie o miesiąc wcześniej, czy o miesiąc później? Sądzę również, że dla tej nieszczęsnej duszyczki obojętne jest, czy śmierć zostanie zadana w barbarzyński sposób przez ciemną babkę wiejską, czy wprawna ręką lekarza, uzbrojonego w precyzyjne narzędzia i z zachowaniem wszelkich wymagań aseptyki. Różnica jest tu tylko w formie.

Powołaniem lekarza jest leczyć, a nie zabijać,

bronić życia ludzkiego, a nie niszczyć je w zarodku, i przykazanie „nie zabijaj” obowiązuje lekarzy nie w mniejszym stopniu, niż innych ludzi. Nie wiem zresztą, czy który z lekarzy, zalecających przerwanie ciąży, mógłby kiedy z całym przekonaniem i nieomylnie twierdzić, że matka napewno umrze, wydając dziecko na świat, że natomiast napewno żyć będzie długo i cieszyć się dobrem zdrowiem, jeżeli dziecko zabije. To mogą być zawsze tylko przypuszczenia i znam osobiście kilka matek, które, wbrew wyraźnemu zakazowi lekarza, wydały na świat zdrowe dzieci i same są jaknajzdrowsze.

Choćby zresztą śmierć była pewna, to czyż nie czeka ona każdego? Czyż nie czyha na nas na każdym kroku i czyż nie może nas spotkać w każdej chwili, nawet, gdy się tego najmniej spodziewamy? Tyle widzimy wkoło siebie przykładów bohaterstwa: żołnierzy, idących na pewną śmierć na straconą placówkę; lekarzy lub chemików, poświęcających się niebezpiecznym badaniom, gdy śmierć czai się w próbkach i retortach; lotników, oddających swe młode życie dla chwały Ojczyzny; robotników, pracujących na niebotycznych wysokościach, gdzie każdy krok fałszywy grozi runięciem w przepaść, lub w kopalniach węgla, gdzie groza śmierci jest nieodłączną towarzyszką górnika. Ci wszyscy ludzie napewno kochają życie, napewno każdy z nich albo podporą czyjejs starości, albo szczęściem dla jakiegoś serca jedyne, czy ojcem rodziny. Nie cofają się jednak przed ofiarą życia. Jakże smutne, i szare, i nędzne stałoby się życie ludzkie, gdyby zamarł na świecie duch bohaterstwa i ofiarnego poświęcenia, gdyby bezpieczeństwo osobiste stało się dla ludzi najwyższą normą etyczną!

Trzeba umieć spojrzeć śmierci w oczy odważnie i spokojnie, w głębokim przekonaniu, że nie jest ona największym nieszczęściem, jakie nas spotkać może. Stokroć większym bowiem złem jest obciążenie sumienia straszną zbrodnią dzieciobójstwa!

Przerazająco niski poziom wykształcenia i, prosto, uświadomienia religijnego ogółu naszej inteligencji sprawia, że te rzeczy, tak elementarne, tak podstawowe i oczywiste, wielu ludziom nie przychodzi wcale na myśl; że nie bezbożnicy i wolnomyśliciele, a przeciętni katolicy, najlepszej nieraz woli, depczą z lekkim sercem prawo Boże, nie zdając sobie zupełnie sprawy, co czynią.

Brak konsekwencji w postępowaniu, brak odwagi wyciągania praktycznych wniosków ze swych wierzeń i przekonań oto największe zło naszych czasów.

M. S.

Patrzmy głębiej i miejmy odwagę własnych przekonań (odpowiedź na listy pp. Zawisanki i Dzieciolowskiej);

Prenumeruję „Bluszcza” od niedawna, bo dopiero od 1-go stycznia r. b., więc, niestety, nie czytałam artykułu p. L. Mościckiej, który tak poruszył czytelniczki „Bluszcza”. Na podstawie wielu listów, zamieszczanych w „Mównicy”, domyślam się, że p. Mościcka poruszyła tak palącą kwestję, jak los nieślu-

bnych matek i dzieci. Z niezmierną ciekawością czytałam wszystkie odpowiedzi, pragnąc dowiedzieć się, co myśli o tem ogół inteligentnych polek. Zgóry wiedziałam, że sąd będzie surowy, gdyż wszyscy wiemy że dla kobiety nikt nie będzie surowszy i bezwzględniejszy, niż inna kobieta.

Odpowiedzi były różne. Z jednymi zgadzałam się, inne nie odpowiadały mi, ale żadna nie poruszyła mnie tak, jak list p. Dzieciołowskiej, zawarty w N-rze 11-tym, w którym nieślubne macierzyństwo porównano do prostytucji. Oburzenie moje na ten bezlitosny i jednostronny wyrok, wydany przez kobietę, było tak wielkie, że natychmiast po przeczytaniu tego listu napisałam odpowiedź. Nie wysłałam jej jednak, gdyż chciałam załatwić to „na zimno“, a również czekałam, czy znajdzie się inna kobieta, która zareaguje na ten, dziwnie bez litości napisany list. Czekalam dość długo, bo dopiero w przedostatnim numerze „Bluszczu“ z prawdziwą radością przeczytałam list p. Zawiszanki. Z listu tego wieje nie tylko wyrozumienie mądrej i dobrej kobiety, ale czytelnik odnosi wrażenie, że autorka jego zna do głębi duszę wiejskiej Marysi czy Kasi, lub biednej, zahukanej służącej miejskiej.

Chciałabym do dobrego listu p. Zawiszanki dorzucić jeszcze kilka moich uwag. Oczywiście, wszystkiego, co myślę o tej sprawie, wypowiedzieć nie będę mogła, gdyż temat jest za obszerny, i możnaby pisać o tych cichych tragedjach całe tomy.

P. Dzieciołowska między innymi zaznacza, że dziewczyna, wychowująca nieślubne dziecko, czyni pokutę za grzech. Za jaki grzech, proszę pani? Czy grzechem można nazwać zawiedzione zaufanie Kochającej dziewczyny? Czy jej grzechem jest, że ojciec jej dziecka, zhańbiwszy, porzucił ją? Już jeśli mówić tu o grzechu i o pokucie, to chyba tylko w odniesieniu do mężczyzny. Więc zaco ta kobieta ma pokutować? Na takie niesprawiedliwe twierdzenie nie mogę się zgodzić i utrzymuję z całą stanowczością, że kobieta, która wychowuje swe nieślubne dziecko, spełnia nie tylko swój obowiązek, lecz i obowiązek ojca, i za to należy się jej szacunek i pomoc.

Chciałabym bardzo wiedzieć, jak nazwie ta surowa pani postępowanie osób z najlepszego nieraz towarzystwa, tych, które „stoją na świeczniku“, a więc, zdawałoby się, powinny świecić przykładem, jeśli one z nudów, dla sportu, a co gorzej, dla pięknych strojów i większych wygod mają nie jednego, a dwóch i trzech kochanków? Jak to nazwać?

Owszem, o tem się mówi, ale pocichu, i choć wszyscy wiedzą, co, gdzie, kiedy i jak, to te panie przyjmuje się w najlepszych domach, szanuje się je, a nawet stawia za przykład młodemu pokoleniu!

Ponieważ, sądząc z listu, p. Dzieciołowska postępuje w myśl wskazań Kościoła katolickiego, więc zwrócę uwagę na przypowieść Chrystusa o talentach. „Komu więcej dano, od tego więcej wymagano“. A komu więcej dano: biednej wiejskiej dziewczynie, lub miejskiej służącej i wyrobnicy, która często nie umie czytać, czy kobiecie wykształconej i wychowanej przez troskliwych rodziców? Od kogo należy więcej wymagać? kogo surowiej sądzić? A co my robimy?

Jednakże mogę spotkać się z zarzutem, że nie wszystkie nieślubne matki zostały uwiedzione, że niektóre z całą świadomością zgodziły się zostać matkami, wiedząc o tem, że ojciec ich dziecka nie będzie nigdy mężem.

Ja takiej kobiety nie potępię. Czyż można za bronić kobiecie wolnej, samodzielnej, kobiecie-człowiekowi iść tą drogą, jaką ona sobie wybierze? Prawda, nie będzie to wygodny i bezpieczny gościniec, a maleńka, czasem kamienista ścieżka, lecz, jeśli pro-

wadzi do celu, to dlaczego z niej nie korzystać? Jeśli kobieta dla jej tylko wiadomych powodów chce być dla swego dziecięcia i ojcem, i matką, i dobrze wiązuje się ze swego zadania, to za to należy rzucać w nią kamieniem?

Niestety, o tem człowieczeństwie kobiety, o jej wolności, dotąd tylko mówi lub pisze się piękne frazesy, lecz niech tylko która spróbuje swe przekonania wprowadzić w czyn, to prędzej, niżby się spodziewała, dowie się, co o niej sądzą.

A dziecko nieślubne? Czyż ono naprawdę po dojściu do rozumu, będzie w najlepszym razie czuło żal do matki, czy będzie ją przeklinało? Mam nadzieję, że nie. Kobieta, która miała odwagę stawić czoło otoczeniu, będzie umiała tak ukształtować umysł swego dziecka, dla którego wiele wycierpiała, że ono, prócz wielkiej miłości i szacunku, nie będzie dla tej dzielnej matki miało innych uczuć.

Obawiam się, że moje gorące wystąpienie może dotknąć autorkę listu, który zmusił mnie do tak szczerego wypowiedzenia się. Przepraszam za to, lecz treści nie cofnę, gdyż zaparłabym się własnego zdania. Milczeć też nie mogłam, gdyż list p. Dzieciołowskiej był wielką niesprawiedliwością, a na niesprawiedliwość zawsze reaguję i, mam nadzieję, reagować będę.

Z listu, o którym wspomniałam, widać, że autorka jego nie wczuwa się w życie bliźnich, że sądzi ich bardzo powierzchownie. Tak nie można, tembardziej, że, jak wspomniałam wyżej, p. Dzieciołowska powołuje się na nakazy Kościoła katolickiego. Trzeba pamiętać, że sam Założyciel tego Kościoła, Chrystus, który tak ostro osądził faryzeuszów, nie potępił jawno-grzesznicy, owszem: obronił ją przed napaścią zbyt gorliwych wyznawców Jego zakonu. Chrystus patrzył i patrzy na dusze ludzkie, a nie na uczynki, nieraz piękne, które zostały jednak podyktowane najniższymi pobudkami.

Obowiązkiem kobiety polki-katoliczki jest uważać siebie za starszą, mądrzejszą i szczęśliwszą siostrę biednej dziewczyny z ludu i w miarę możności wypełniać obowiązki, jakie z takiego stanowiska płyną. To będzie czynna miłość bliźniego, i wtedy będzie można powoływać się na Kościół.

Sposobności nadarzy się bardzo wiele, trzeba tylko umieć patrzeć i chcieć ulżyć niedolom ludzkim.

A. P. — Warszawa.

Cześć inicjatywie i czynowi.

Z radością dowiaduję się z prospektu, dołączonego do „Bluszczu“, o powstaniu Kursów Korespondencyjnych Gospodarstwa Domowego. Według zapowiedzi, cykl wykładów obejmie szereg poszczególnych zagadnień ideowych oraz praktycznych. Należy się spodziewać, że wydawnictwo to odegra doniosłą rolę w życiu ogółu kobiet, a przede wszystkim wśród tych, które pozostają zdala od większych środowisk kulturalnych.

Pod znakiem wiosny otrzymamy więc wiązanek kwieciami myśli, w postaci poglądów naukowych, oraz wskazań dla praktycznego życia. Tą drogą pójdziemy z postępową wiedzą, oraz dążeń kobiety współczesnej.

Z dużym zainteresowaniem witamy Kursy Korespondencyjne Gospodarstwa Domowego, życząc owocnej pracy Propagatorkom tej, tak pięknej idei szerzenia wiedzy. *Marja Zielińska, Bnin, Poznańskie.*

Proszę o kilimy!

Zainteresowałam się sprawą tkanin z Frampola, gdyż jestem wielbicielką ceramiki i płócien czy wełniaków ludowych. Sprowadzam je, o ile mi skromne środki pozwalają. W ostatnich czasach kupiłam tro-

chę lnianych tkanin wileńskich. Chcąc wybrać barwę i deseń obrusa, prosiłabym o przesłanie mi najpierw kilku małych serwetek do wyboru (za zaliczeniem pocztowym), wybraną pozostawię, resztę odeślę (a może namówię na nie znajomych), poczem ci państwo przyślą mi odpowiedni obrus i resztę serwetek. Czy może są próbki firanek lub kilimów?

J. Matarowska.

Seminarjum nauczycielskie w Końskich.

Kilka słów przypomnienia w sprawie polskiego jedwabiu.

Przeglądając co tydzień sprawozdanie z ankiety gospodarczej, spotykam się prawie w każdej odpowiedzi ze zdaniem, że różnica w jakości między wyrobami krajowymi, a zagranicznymi, jest minimalna, lub że jej wcale nie ma; i tu przychodzi mi na myśl, że właściwie dziś jest czas wyświecić jedną sprawę, a może raczej tylko ją przypomnieć. Czy wszystkie czytelniczki „Bluszczu”, kupujące krajowe jedwabie, wiedzą, że nasz przemysł ogranicza się jedynie do przerobu obcego, zagranicznego (Francja, Włochy) surowca; że Polska nie ma dotychczas własnego, naprawdę własnego jedwabiu, posiadając idealne warunki klimatyczne i gospodarcze do produkcji najlepszego gatunku surowca?

Będąc od bardzo niedawna prenumeratorką „Bluszczu”, nie wiem, czy hodowla jedwabników i morwy była tu omawiana obszerniej, przypuszczam jednak, że jest to rzecz Paniom już znana; chciałabym więc tylko przypomnieć, że z nadejściem wiosny nastaje okres, w którym można i trzeba już od tego roku, nie odkładając, rozpocząć pracę w tym kierunku. Liczne szkółki prywatne i państwowe mają już duży zapas sadzonek morwy białej (*morus alba*) i sprzedają je po bardzo dostępnych cenach. Trzeba się koniecznie o to postarać, posadzić żywopłoty, obsadzić większymi drzewkami drogi i miedze, oraz wszelkie, nie wyzyskane pod żadną uprawę, kawałki ziemi. Te Panie, które zajmują się same ogrodem, lub wogóle mają odpowiednie potem warunki, powinny sprowadzić nasiona i zakładać własne szkółki: będą one wielką pomocą w propagowaniu jedwabnictwa wśród włościan, dając im odrazu na miejscu gotowy materiał.

Bardzo ważne jest zaagitowanie hodowli morwy i jedwabników wśród ludności wiejskiej; trzeba im przedstawić korzyści, jakie z tego osiągną, przy minimalnym nakładzie pieniędzy i pracy.

W tych okolicach, gdzie są już dorosłe drzewa morwowe (ta jedyna spiżarnia jedwabników), powinno się założyć w czerwcu próbne hodowle jedwabników, narazie na małą skalę; przykład, pokazy na czemś już istniejącem, realnem, będą najlepszą zachętą do rozpowszechnienia tej gałęzi przemysłu, miłej, interesującej, a przytem tak korzystnej, zarówno dla poszczególnej jednostki, jak i dla Państwa.

Żaden wieśniak, rozumnie w tej sprawie oświecony i zachęcony przykładem, nie pogardzi łatwym zarobkiem w kwocie kilkuset złotych rocznie, a każda z Pań, raz spróbowawszy, będzie już napewno stałą i zamilowaną hodowczynią tej niezliczonej rzeszy robaczków, które tylko w pierwszych dniach hodowli, dla początkującego, wydają się czemś trudnym, a po miesiącu, przy codziennych koło nich staraniach, stają się nam bliskie, interesujące, a wkońcu nawet nadzwyczaj estetyczne, jako czyściutkie, białe, lub żółte kokony.

Tak często chciałoby się przedsięwziąć jakąś pracę społeczną i wydaje się nam, że nic zrobić nie potrafimy, lub nie mamy sposobności. Otóż dla wielu

Czytelniczek sposobność się nadarza. Propagując hodowlę jedwabników, podnosi się dobrobyt małorolnych, Polsce przysparza kilkadziesiąt milionów, które co roku idą w obce ręce za materiały jedwabne i surowiec, rozwija się przemysł jedwabniczy, dając pracę rzeszom bezrobotnych, żyjącym na koszt Państwa. A może kiedyś, w przyszłości (bądźmy optymistami) eksport polskiego jedwabiu zajmie miejsce importu, tak bardzo niekorzystnego i nieracjonalnego w naszych warunkach.

Snopkowianka.

Nasza ankieta gospodarcza.

1. Wszystkie zakupy i interesy domowe załatwiam sama; służąca kupuje pieczywo, mięso, jarzyny. Mleko przywożą mi do domu.

2. Kupuję przeważnie w tych samych chrześcijańskich sklepach, których, niestety, z powodu niezrozumienia interesów narodowych wśród kobiet i naszej polskiej niesolidarności, jest z każdym rokiem mniej w Krakowie; zato każdą placówkę polską obejmują z powodzeniem żydzi.

3. Towarów zagranicznych staram się nie kupować. Towar zagraniczny liczy się do zbyt drożych i tego nigdy nie kupuję. Kupcy, znając upodobanie publiczności, nieraz wyroby krajowe przedstawiają, jako zagraniczne, często polski wyrób ganiają sami, co im zawsze ostro wytykam.

4. W Krakowie, pomimo wielkiego upadku handlu polskiego, można mieć wszystko, czego potrzeba do gospodarstwa domowego.

5. O ile zauważę jakieś braki, zwracam się do zarządu firmy; ponieważ jestem stałym odbiorcą w pewnych firmach, mam zawsze b. uprzejme traktowanie i starają się dogodzić mi.

6. Kredytów w zakresie żywności nie używam nigdy; jedynie ubrania, wyroby włókiennicze i węgiel muszę kupować na raty, których mi chętnie udzielają, gdyż staram się ratami nie przeciążać budżetu, a terminów trzymam się ściśle.

10. Dobrze byłoby, aby „Bluszczy” rozpoczął ankietę z zapytaniem, w jakich sklepach, polskich czy żydowskich, nasze panie kupują. Mielibyśmy obraz, czy nasze kobiety rozumieją niebezpieczeństwo zalewu żydowskiego: kulturalnego i handlowego, czy rozumieją nasz interes narodowy.

Z. Surzycka — Kraków.

1. Wszelkie zakupy domowe załatwiam sama, z wyjątkiem niektórych produktów spożywczych, które kupuje służąca.

2. Kupuję przeważnie u stałych dostawców.

5. Staram się kupować wyroby krajowe i uważam, że przeważnie nie ustępują one zagranicznym.

4. Kraków ma handel o tyle rozwinięty, że wszelkie towary i przedmioty codziennego użytku są tu do nabycia.

6. Kupuję tylko w polskich firmach, a te są bez zarzutu pod względem dokładności wagi. Opakowanie towaru także zwykle jest zupełnie dobre.

7. Z kredytu nie korzystam wcale.

9. Wszelkie zakupy załatwiam wyłącznie w Krakowie.

10. Kupiectwo polskie jest w ciężkich bardzo warunkach, uważam więc, że każda kobieta-polka powinna kupować jedynie tylko w polskich firmach, pomijając zupełnie żydowskie.

1. Wszelkie większe zakupy załatwiam osobiście; służąca zakupuje prowianty drobne.

2. U stałych dostawców.

5. Zasadniczo kupuję tylko towary krajowe.

4. W Krakowie brak bardzo doborowych owoców.

5. Krytyk i reklamacji nie zgłaszam.

6. Waga dobra, opakowanie też; przy większych zakupach nigdy nie mam trudności z odsyłaniem. Ze smutkiem muszę zaznaczyć, że w sklepach żydowskich obsługa jest o wiele grzeczniejsza, niż w sklepach chrześcijańskich.

8. W „Bluszczy” chciałabym widzieć ogłoszenia z poza Warszawy.

10. Uważam za konieczne i pilne wpojenie w nasze kupiectwo przekonania, że sklep jest dla publiczności, a nie publiczność dla sklepu.

Z. D. — Kraków